MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 50. WARSZAWA, 7 GRUDNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ARTYKUŁ 19-ty CZY WOJNA?

HASŁEM naczelnem polityki Niemiec w stronę Polski jest obecnie, w napięciu silniejszem, niż kiedykolwiek dotychczas, żądanie zmiany granicy polsko-niemieckiej.

Od kiedyż zabrzmiało to żywsze podniesienie głosu?

Ściśle i dokładnie od wyjścia wojsk okupacyjnych z Nadrenji, co się stało wcześniej, niż przewidywał artykuł 429-ty Traktatu Wersalskiego, dnia 30-go czerwca 1930. Już w odpowiedzi niemieckiej z dnia 11-go lipca 1930 na memorjał p. Briand'a w sprawie związku europejskiego, zjawiają się, w dokumencie państwowym niemieckim na gruncie międzynarodowym, napomykania o niemożności utrzymania obecnego stanu rzeczy w układzie europejskim. W sierpniu 1930 padają, powtarzane kilkakrotnie i uparcie, mimo poruszenia i nawet oburzenia nietylko w Polsce ale i w innych krajach Europy, zapowiedzi urzędującego ministra p. Treviranus'a, że zmiana granicy polsko-niemieckiej, a w szczególności i wyraźnie połączenie Prus Wschodnich z Rzeszą, czyli odcięcie Polski od morza, jest, dosłownie, najbliższem i naczelnem zadaniem polityki niemieckiej na gruncie międzynarodowym. I od tej chwili sprawa ta nie schodzi z powierzchni, tak dalece, że ona właśnie ma najżywszy dźwięk w obradach Izby Deputowanych francuskiej z 7-go do 13-go listopada 1930 i także w obradach Rady Rzeszy Niemieckiej z 20-go listopada 1930 roku. Przewidywania tych w Polsce, którzy wskazywali, jak wielką przedewszystkiem dla nas wagę ma zamierzone usunięcie okupacji Nadrenji, uważając za niepowetowane zło pominięcie w rokowaniach sprawy bezpieczeństwa Polski, sprawdziły się, niestety, aż nadto dokładnie.

Tryb niemieckich wystąpień przeciw granicom Polski jest zawsze taki sam. Zaczyna się to zawsze od gromkich i ogólnikowych okrzyków: granice są niemożliwe, cały naród niemiecki odczuwa je jako krwawiącą ranę, to musi być zmienione. W odpowiedzi na to słyszą nietylko z Polski, ale także z Francji, z Anglji, z innych jeszcze krajów Europy: cóż to znaczy, czyż Niemcy zapominają, że podpisały granicę polsko-niemiecką w Traktacie Wersalskim w r. 1919, że, wstępując do Ligi Narodów w r. 1926, wzięły na się zobowiązanie szanowania obszaru państwowego i granic innych członków Ligi, że w Pakcie Kellogg'a w r. 1928 wyrzekły się wojennych wystąpień? Ale wówczas Niemcy stale odpowiadają: my wcale nie o wojnie myślimy, lecz tylko o zmianie granic na podstawie art. 19-go paktu Ligi Narodów, który przewiduje rewizję traktatów. Powtarza się to niezmiennie, jak w zegarku.

Otóż pytanie dzisiaj w tym przedmiocie najistotniejsze jest takie:

— Co są warte te odwoływania się Niemiec do artykułu 19-go paktu Ligi w ich szeroko rozwiniętym szturmie do granic Polski?

Przypomnijmy sobie brzmienie artykułu 19-go:

— Zgromadzenie Ligi może od czasu do czasu *(de temps à autre)* zwracać się do członków Ligi, aby przystąpili *(inviter à procéder)* do ponownego zbadania traktatów, które stały się niemożliwe do stosowania *(devenus inapplicables* fr., *which have become inapplicable* ang.), oraz położeń międzynarodowych, których dalsze trwanie mogłoby zaszkodzić pokojowi.

Wszystko, co oznacza słynny artykuł 19-ty, mieści się w tych niewielu słowach. Gdy w roku 1929, na 10-tem Zgromadzeniu Ligi wypłynęła, z powodu wniosku chińskiego, sprawa rewizji traktatów na podstawie art. 19-go, powzięło Zgromadzenie, po żmudnych rozważaniach komisyjnych, uchwałę, która ogranicza się, w sprawie znaczenia i stosowania art. 19-go, do powtórzenia określeń, zawartych w art. 19-tym, oraz do stwierdzenia postanowień regulaminowych. Kto zatem pyta o znaczenie art. 19-go, musi pozostać ściśle na wąskim gruncie jego określeń.

Otóż postanowienia te i określenia są niezwykle oględne i ograniczające.

Przypuśćmy, że Niemcy wytaczają w Zgromadzeniu Ligi Narodów sprawę granicy polsko-niemieckiej, na podstawie art. 19-go.

Jaki byłby tok sprawy?

1. — Niemcy zgłaszają wniosek w Zgromadzeniu Ligi, bo jest to sprawa zastrzeżona pełnemu Zgromadzeniu właśnie, a wniosek ten musi być ujęty w sposób, zgodny z określeniami art. 19-go: wobec tego, że postanowienia Traktatu Wersalskiego o granicy polsko - niemieckiej są na przestrzeni od... do... niemożliwe do stosowania, Zgromadzenie wzywa państwa, których to dotyczy, aby ponownie zbadały te postanowienia traktatu.

2. — Zgromadzenie, chcąc poprostu nadać bieg załatwieniu jakiejkolwiek sprawy, t. j. przygotowaniu jej do takiego czy innego załatwienia, odsyła ją do komisji, zwykłą większością głosów, wedle art. 5-go paktu, który dla spraw porządkowych, a w szczególności dla odsyłania do komisji, ustala wymaganie zwykłej większości. Zgromadzenie może, oczywiście wyjątkowo, wogóle nie odesłać sprawy do komisji, czyli nie nadać sprawie biegu, jeżeli nie będzie większości za odesłaniem do komisji. Właśnie w wypadku takim, jak zgłoszenie wniosku z art. 19-go, znajduje Zgromadzenie już w art. 19-tym zastrzeżenie, że może ono tylko wyjątkowo (od czasu do czasu) posługiwać się art. 19-tym, co jest ostrzeżeniem wyraźnem i obowiązującem. Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że wiele państw, uczestniczących w Zgromadzeniu, powie sobie odrazu, iż, co jak co, ale granice nie mogą być wogóle przedmiotem takich zaleceń, bo wtedy wszystko się podrywa. Czyli bardzo łatwo mogłoby się zdarzyć, że wniosek taki, uznany za podburzający i wzniecający niepokój, nie zostałby nawet odesłany do komisji, bo większości głosujących za odesłaniem nie byłoby w Zgromadzeniu. W najlepszym zaś dla Niemców wypadku, będzie tylko odesłany narazie do komisji trybem porządkowym.

3. — Komisja przystępuje do zbadania wniosku, ale musi ona stać ściśle na gruncie postanowień i określeń art. 19-go, a wobec tego wysuną się w niej, bo będą oczywiście wysunięte, następujące względy prawne i rzeczowe:

a) Art. 19-ty mówi bardzo ściśle tylko o traktatach, które stały się niemożliwe do stosowania. Nie mówi o niedogodnych czy przykrych, ale niezmiernie ograniczająco tylko o niemożliwych do stosowania. I to trzeba rozumnie udowodnić. Otóż tego nikt nie udowodni, że obecna granica polsko-niemiecka jest niemożliwa do stosowania.

b) Art. 19-ty mówi o postanowieniach niemożliwych do stosowania. Ale prawo międzynarodowe zna postanowienia traktatowe, które stosuje się wielokrotnie i przez długi czas, np. w układach handlowych i t. p., oraz takie, które stosuje się jednorazowo, np. właśnie wytyczenie granic. Znaczy to, że postanowienia o granicy polsko-niemieckiej są już zastosowane, czyli o niemożności stosowania wogóle mowy być nie może.

c) W sprawie obszaru i granic państw, należących do Ligi, istnieją dla jej członków zobowiązania szczególne w art. 10 tym („członkowie Ligi zobowiązują się szanować i chronić przed wszelką napaścią z zewnątrz obecną nietykalność obszaru i niezależność polityczną wszystkich członków Ligi“), a zatem każdy członek Ligi wie, że ma szanować granice istniejące, czyli nie może zalecać ich zmiany, co znowu wskazuje, że sprawy granic wogóle nie wchodzą w określenia art. 19-go.

W tym stanie rzeczy jest tedy wogóle niemożliwe, ażeby komisja, wedle życzenia jednego z państw, a przeciw innemu, uznała za właściwe zalecenie zmiany granic, bo zeszłaby całkowicie z gruntu prawnego Ligi Narodów.

4. — Gdyby zaś nawet komisja postanowiła przedstawić Zgromadzeniu pełnemu wniosek o zwrócenie się do państw, których to dotyczy, by zbadały ponownie sprawę granicy, jakiż będzie stan rzeczy w Zgromadzeniu? Wedle art. 5-go paktu Ligi uchwała musiałaby być powzięta jednomyślnie („o ile wyraźnie nie zostało inaczej postanowione w tym pakcie, lub w niniejszym traktacie, uchwały Zgromadzenia lub Rady zapadają przez jednomyślną uchwałę członków Ligi, reprezentowanych na posiedzeniu“), gdyż dla spraw art. 19-go niema od-

miennego zastrzeżenia. Do jednomyślności potrzebna by była w danym wypadku i Polska. Ale trzeba zważyć, że każde wogóle państwo, dbałe o swój byt, musiałoby sobie powiedzieć: jeżeli wogóle zaczniemy zalecać zmianę granic, to po kolei każde państwo znajdzie się w niepewności swego obszaru. Nie znajdzie się wogóle poważna ilość, a cóż dopiero jednomyślność państw, któreby poparły taki wniosek.

5. — Gdyby zaś, wbrew oczywistości, przypuścić możliwość jednomyślnej uchwały Zgromadzenia w takim duchu, co byłoby treścią takiej uchwały? Może ona jedynie zwrócić się do państw, których to dotyczy, a więc w danym wypadku do Polski i do Niemiec, aby, jak mówi art. 19-ty, przystąpiły one same do ponownego zbadania. Czyli wszystko zależałoby znowu od woli Polski.

Oto zakres i znaczenie art. 19-go.

Nie mógł on naruszyć i nie naruszył podstawowej zasady prawa międzynarodowego, że traktaty mogą być zmieniane tylko za zgodą stron, bo inaczej zawieranie traktatów byłoby wogóle niecelowe. Może się zdarzyć, że pewne postanowienia traktatowe staną się z czasem niemożliwe do stosowania, a zatem same państwa, które traktat zawarły, uznają, że zmiana jest konieczna. Dla takich wypadków art. 19 wprowadza ułatwienie spokojnego i pokojowego postępowania przez zachętę, zawartą w jednomyślnej uchwale Zgromadzenia.

Ale, rzecz jasna, art. 19-ty nie mógł być pojmowany i nie był pojmowany jako sposób nacisku na jedno z państw, i to w sprawach takich, jak ziemie i obszar, których szanowanie, bez żadnych zastrzeżeń, zabezpieczono w art. 10-tym.

Gdyby Niemcy zgłosiły taki wniosek w Zgromadzeniu Ligi, byłby on zupełnie niewątpliwie od rzucony, czyli że sprawa, którą starają się one utrzymywać jako sprawę otwartą, zrobiłaby się właśnie sprawą zamkniętą.

I dlatego Niemcy ani nie zgłaszają takiego wniosku, ani o tem poważnie nie myślą. Całe powoływanie się na art. 19-ty jest dla nich tylko osłonką wichrzeń niedozwolonych prawnie. W rzeczywistości dążą one do zmiany granicy polsko-niemieckiej na jedynej możliwej drodze t. j. siłą. Ale o tem mówić nie mogą, bo to jest przeciwne ich zobowiązaniom międzynarodowym w Traktacie Wersalskim, w Pakcie Ligi, w Pakcie Kellogg'a. Chcą zaś dużo o tem mówić, aby przygotować i obrobić umysły w świecie. Więc mówią, krzyczą, grożą, a gdy się im przypomina zobowiązania, zasłaniają się art. 19-tym, starannie jednak unikając uciekania się do tego artykułu przez wyraźny wniosek na Zgromadzeniu Ligi.

Ten właśnie krzyk Niemiec o rewizję traktatu, a w szczególności postanowień o granicy polsko-niemieckiej, przy obłudnem powoływaniu się na art. 19-ty, znalazł oddźwięk w ostatnich obradach Izby Francuskiej.

Pp. Franklin-Bouillon, Scapini i Louis Marin wystąpili przeciw tym roszczeniom niemieckim, a prezes rady ministrów p. André Tardieu dnia 19-go listopada b. r. oświadczył:

— W sprawie rewizji dwa fakty: jest art. 19-ty paktu Ligi, który podobno mówi o rewizji, i jest zasada, postawiona w Lidze Narodów, że w takiej sprawie potrzebna jest jednomyślność... Jak można wogóle ten tekst stosować do granic? Cóż to znaczy: granica, która stała się niemożliwa do stosowania? Granica jest stosowana, i to się nazywa czasem pokoju, albo nie jest stosowana, i to się nazywa czasem wojny... Liga Narodów żąda jednomyślności; my do niej należeć nie będziemy; więc nam art. 19-ty nie przeszkadza... Jeśli się sądzi, że odebranie korytarza polskiego albo Eupen usunęłoby dolegliwości, które cierpi świat i cierpią Niemcy w świecie, jest to szczytem dziecińśtwa... Ale gdyby pewnego dnia, z jakiemiś widokami powodzenia, wytoczyłby się na stół narad międzynarodowych program rewizji, w kilka miesięcy później byłaby wojna...

Te stanowcze oświadczenia prezesa rady ministrów p. Tardieu'go, który uzupełnił bezpośrednio przedtem wygłoszoną mowę p. Brianda, równie ścisłe pod względem prawnym, jak doskonałe pod względem politycznym, popsuły robotę Niemcom.

Minister spraw zagranicznych Rzeszy, p. Curtius, skorzystał z najbliższej sposobności, jaką mu dało posiedzenie Rady Rzeszy, dnia 20-go listopada b. r., by wygłosić mowę i oświadczyć w niej:

— Przypominam punkty istotne narad w Locarno, gdzie chodziło o rozróżnienie stanowiska naszego wobec sąsiadów naszych zachodnich i wschodnich... Czyż oddawna nie jest rzeczą znaną w całym świecie, że naród niemiecki uważa za niemożliwą zgodę na stan rzeczy obecny, szczególnie na wschodzie... Jeśli p. Tardieu mówił o konieczności jednomyślności dla stosowania art. 19-go, nietylko muszę sprzeciwić mu się ze stanowiska prawniczego, ale także ubolewam, że wywołał wrażenie, iż zgóry wypowiedział *veto* Francji, jakiekolwiek byłyby warunki, w których sprawy przedstawiłyby się w przyszłości... Gdyby art. 19-ty lub inne postępowania nie istniały, pozostaje jeszcze to, że nie sztywne traktaty, ale życie narodów rozstrzyga o przyszłości...

P. minister spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej napomyka ogólnikowo, że nie uznaje konieczności uchwały jednomyślnej w sprawie art. 19-go, co Niemcy nieraz powtarzają, ale to powtarzanie nie zmienia ani trochę prawa zupełnie wyraźnego. Zarazem nie tai, że Niemcy rozróżniają granice zachodnie, jako nietykalne, i wschodnie, jako mniej nietykalne. I ostatecznie z osłonek art. 19-go ucieka już jawnie w twierdzenie, że nie traktaty rozstrzygają, ale... życie, co znaczy... siła.

Sprawa stoi jasno w Niemczech, we Francji, a chyba i w Polsce.

STANISŁAW STROŃSKI

UWAGI O OBRONIE MORSKIEJ

W TERAŹNIEJSZEJ chwili, kiedy nasze stosunki z Niemcami układają się w sposób, pozostawiający coraz mniej wątpliwości, kwestje naszej obrony muszą przyciągać coraz większe zainteresowanie zdrowo myślącej opinji polskiej.

Jest ono, niestety, niewielkie. Coprawda widać np. wysiłki bardziej uświadomionej prasy, żeby zwrócić uwagę na konieczność umacniania naszych granic, ale inne dziedziny są zupełnie zaniedbane. Chodzi nam np. o naszą sytuację morską. Ingorancja i zaślepiona obojętność ogólna jest niepomyśnym objawem i budzi niewesołe refleksje.

Każdy wie, że w chwili obecnej najważniejsze dla nas jest zagadnienie obrony Pomorza. Warunkiem pomyślnego rozwiązania tego problemu jest kwestja strategiczna zupełnego odcięcia Prus Wschodnich od pozostałej części Rzeszy. Jeżeli na lądzie da się obronić „kurytarz“ przez zgromadzenie odpowiedniej ilości wojsk i obsadzenie uprzednio przygotowanych umocnień, to będzie to dopiero częściowe rozwiązanie tego zadania. Rozwiązanie jego zupełne będzie bez działań morskich bardzo utrudnione, jeżeli wogóle możliwe. Warunkiem powodzenia akcji lądowej będzie przecięcie drogi dla transportów morskich nieprzyjaciela. Niebezpieczeństwo walki na dwa fronty, odległe od siebie na 100 km., będzie zredukowane wtedy do *minimum.*

A nie mówimy tu już o utrzymaniu naszej komunikacji z zagranicą, o ochronie naszego handlu morskiego, atakowaniu nieprzyjacielskiego.

Zadania naszej floty na tych polach są ogromne, a sukcesy, jakie może osiągnąć, zasadnicze.

Ale jak się przedstawiają wobec tego nasze siły morskie, te które posiadamy, które budujemy i których budowę planujemy?

Trudno pisać o flocie teraźniejszej, bo wogóle trudno pisać i mówić o czemś, czego właściwie niema.

Po pierwsze wszystkie nasze jednostki morskie (z wyjątkiem „Wichra“) nie mają żadnej wartości w swojej klasie. Po drugie są to jednostki, które, gdyby rzeczywiście były na poziomie swojej klasy, i tak miałyby znaczenie tylko pomocnicze.

Jedyny pożytek tych statków, to użycie dla celów szkolenia, żeby rekruci przyzwyczaili się jeździć po morzu (i to coprawda niedaleko). Pozatem b. ograniczona praktyka nawigacyjna dla oficerów. Do boju te statki są właściwie nieprzydatne. Do walki nie będą dopuszczone wogóle i w takiej ewentualności czeka je rychły i niesławny koniec. Trudno zresztą nazwać walką strzelania do jednoski z klasy „Kujawiaka“ przez np. nowoczesny kontrtorpedowiec, przewyższający go szybkością o 20 węzłów i donośnością dział o 5000 mtr., z odległości, którą sam sobie obierze. Nasze kanonierki mogą również strzelać do celu i najwyżej do łodzi rybackich. Co do trawlerów, to mogą one poławiać miny, ale trudno opierać strategję morską na poławiawianiu min. Kto zresztą będzie ich przy tej czynności bronił?

Co mówić o obojętności i nieświadomości szerszego społeczeństwa, kiedy i ci, co pisują o flocie polskiej, nie mają pojęcia o tem co robią. Od dziesięciu lat pisze się o „skromnych początkach“ polskiej floty, aż nareszcie zrobiono program morski z dwu kontrtorpedowców i trzech łodzi podwodnych, co jest naprawdę... skromne. Co się temu dziwić, gdy np. niedawno pewien bardzo szanowany publicysta napisał korespondencje z Gdyni, z racji wizyty floty angielskiej, w której to korespondencji „Mazura“ nazwał „torpedowcem“, a kiepskie koszary morskie, przywleczone z Francji, określa mianem „krążownika“.

Prawda, że ten pisarz nie widział pewno nigdy, jak wygląda prawdziwy nowoczesny torpedowiec albo krążownik i wobec tego powtarza tylko, co usłyszał od oprowadzającego go porucznika marynarki, który musi powtarzać to, co stoi w rejestrze jednostek morskich. Największy skandal to właśnie, że „takie coś“ wogóle figuruje w tym rejestrze. Nikt nie przeczy temu, że „Bałtyk“ był kiedyś, 30 lat temu, krążownikiem, a „Mazur“ torpedowcem, ale już stare, mądre przysłowie uczy, że: „co było a nie jest, nie pisze się w rejestr”.

Ale pozostawmy na boku to zagadnienie. Mamy teraz nasz lilipuci, fantastyczny wprost swemi „rozmiarami“ programik, trzeba jednak znać jego prawdziwą wartość. W tym celu najlepsze będzie krótkie wytłumaczenie znaczenia i roli poszczególnych jednostek morskich.

Jednostką bojową w całem tego słowa znaczeniu jest pancernik, daleki potomek fregaty Nelsona. Takim pozostaje, mimo nowożytne, nieco przesadzone opinje, że jest jednostką przestarzałą. Jego cechą zasadniczą jest siła ognia, reprezentowana przez działa od 12 do 16 cali (300 — 400 mm) oraz zdolność defensywna, reprezentowana przez pancerz, który winien osłonić go w zasadzie przed ogniem jego własnego kalibru podstawowego na średnią odległość. Oczywiście do pewnej granicy kwantytatywnej, bo nawet pancerz 15 calowy można przebić pewną ilością pocisków 75 mm. Pojemność współczesnych pancerników waha się pomiędzy 25000 a 35000 tonn, szybkość 20 — 25 węzłów. Teoretycznie rozwiązana jest konstrukcja jednostek do 50000 tonn i 18 cali. Celem pancernika jest działanie ogniem artylerji. Wszelkie inne zadania nie leżą w zakresie jego „kompetencji“.

Krążownik jest jednostką, której cechą zasadniczą jest szybkość. Jest on przeznaczony specjalnie do walki z handlem nieprzyjacielskim na odległych szlakach morskich. W boju spełnia on funkcje wywiadowcze — do tego posiada zwykle parę samolotów, rzucanych przez katapulty — dalej należy do niego zwalczanie torpedowców i jednostek swojej klasy. Ponieważ jego pojemność jest wyzyskana dla dania mu jaknajwiększej szybkości, nie ma on pancerza i dlatego jest bardzo czuły na pociski stosunkowo małe, to też jedyną jego bronią przed pancernikiem, przeciw któremu niema żadnych szans, gdyż jego artylerja jest przeciw pancerzowi linjowca albo wogóle nieskuteczna, albo bardzo mało — jest wyzyskanie zwłaszcza swojej szybkości.

Obecnie wymaga się od krążownika szybkości 30 — 36 węzłów. Ustaliły się dwie klasy krążowników: większe, ok. 10000 tonn i 8 calowe

działa i mniejsze, poniżej 10000 tonn i działa 6 calowe. Krążowników poniżej 6500 tonn obecnie się nie buduje.

Kontrtorpadowiec i torpedowiec odbyły co do swych zadań taktycznych dużą ewolucję. Już dziś walka bronią, od której bierze swoją nazwę „torpedowiec", przechodzi coraz więcej do zakresu środków walki, stosowanych przez łodzie podwodne i samoloty. Właściwy typ „torpedowca" (*torpedoboat*) jest już w nowych konstrukcjach zarzucony. Jednostki, które się dziś buduje, są raczej tem, co się nazywało dawniej kontrtorpedowcami. Ich angielska nazwa brzmi „*destroyer*", t. j. niszczyciel, co jest skrótem od „*torpedoboat-destroyer*" — niszczyciel torpedowców, czyli kontrtorpedowiec. Tylko, że niszczyciel torpedowców stał się teraz niszczycielem łodzi podwodnych. Poza tem pozostają mu funkcje przesłaniania i zwiadu, które w boju linjowym dzieli z krążownikami.

Obecnie „niszczyciele" posiadają pojemność 1000—1500 tonn. Oprócz tego istnieją statki, t. zw. *leadery* flotylli „niszczycieli" z 2000 — 2500 tonn pojemności, które są już rodzajem małego krążownika. Szybkość jednych i drugich winna być *minimum* 35 węzłów.

W każdym razie jest to jednostka *pax excelence* pomocnicza. We wszystkich rodzajach swych funkcyj, w szczególności w zwiadzie i walce z łodzią podwodną, ma groźnego rywala w samolocie.

Teraz o łodziach podwodnych. Te także budujemy. Łódź podwodna jest obecnie przedmiotem wielu sporów. Nie możemy naturalnie ich roztrzygać. Ale wiele z pośród argumentów, jakie się w tej sprawie wysuwa, jest wartych zastanowienia.

Jakie szanse ma łódź podwodna w walce przeciw jednostkom powierzchniowym? Jej zaletą jest łatwość zaskoczenia, dzięki niewidoczności. Ale technika wojenna wynalazła dla niej dwu niebezpiecznych wrogów: jeden—to torpedowiec, z aparatem podsłuchowym, który odkrywa szum jej motoru, drugi, to aeroplan, który widzi ją z góry, podobnie jak widzi skały podwodne, do pewnego zanurzenia naturalnie, ale zobaczy ją napewno, kiedy jest w pogotowiu bojowem, na takiej głębokości, która jej pozwala na używanie peryskopu, to znaczy na głębokości paru metrów (na zdjęciach widać czasem zanurzoną łódź podwodną tak, że nie można zupełnie odróżnić, czy jest ona nad czy pod powierzchnią). Wobec takich trudności może łódź atakować z wystarczającemi szansami tylko statki pojedyńcze, handlowe, a i to nieraz w czasie wojny handlowce dawały sobie radę z łodziami podwodnemi. Torpedowiec i krążownik są dla niej ciężkim orzechem, a w walce przeciw pancernikowi, który przecież idzie zawsze pod eskortą torpedowców i pod samolotami ma szanse minimalne, żadne. Tak samo nie ma żadnych szans w walce z eskortowanym transportem morskim, a przecież to ostatnie — to istota problemu. Do takich operacyj trzebaby działań masowych, prawdziwych hekatomb w ludziach i materjale, żeby osiągnąć jakieś nieznaczne wyniki.

Nie pozwalając sobie na żadne decydujące sądy w tej sprawie, musimy podkreślić fakt niewątpliwy, że łódź podwodna jest zawodnym środkiem zniszczenia silnie eskortowanych transportów.

Jak się przedstawia w świetle tych uwag nasza flota?

Mając torpedewce (dwa), możemy walczyć tylko z torpedowcami. Te dwa „niszczyciele" nie dadzą rady nawet małemu krążownikowi, bo on ich nawet nie dopuści na odległość ich strzału, ani działania torpedy. Mogą to być świetne torpedowce, ale to nie zmienia faktu, że pozostaną tylko świetnemi patrolami kawalerii i niczem więcej.

Wróćmy jeszcze raz do naszej publicystyki. Sam fakt pisania długich i entuzjastycznych korespondencyj o naszej flocie jest bardzo dobrym objawem. Nie możemy jednak nie wspomnieć o jednej, z okazji powitania „Wichra" w Gdyni. Autor jej konstatuje na końcu, że przydałoby się nam takich „Wichrów" ze dwanaście. Jest coś tragicznego w tem, jak polski publicysta, w zapale wyobraźni patriotycznej nie może sobie nic więcej wyobrazić, jak tuzin „Wichrów". Co to jest dwanaście *destroyer*'ów? Akurat to samo, co dwanaście patroli kawalerji. Czy dwanaście patroli kawalerji może walczyć z pułkiem piechoty? Wyobraźmy sobie walkę dwunastu *destroyer*'ów z pancernikami z „alfabetu" niemieckiego. Ładny widok, oczywiście dla Niemców. I zabawa: 280 mm. przeciw blasze i 130 mm. przeciw pancerzom. Chcemy walczyć z pancernikami, musimy przeciwstawić im pancerniki, krążownikom — krążowniki, terpedowcom — torpedowce. Tylko pancernik może zwalczać wszystkie klasy. Do pewnego stopnia może go zastąpić samolot torpedowy i bombardujący, jeżeli użyty masowo.

Jeżeli chcemy przeciw pancernikom budować torpedowce i nic więcej, to lepiej nic nie budować i nie marnować pieniędzy.

Ciekawe dalej, jaka idea kazałaby nam zamawiać dwa, czy trzy kontrtorpedowce, torpedowce i trzy łodzie podwodne i na tem się ograniczać. Czy budujemy flotę do walki z przemytnikami tytoniu? Sądząc ze skali „programów", któremi operują nasze władze morskie, to chyba do czegoś w tym rodzaju.

Flota, złożona z trzech kontrtorpedowców i trzech łodzi podwodnych w razie wojny np. z Niemcami miałaby następujące drogi do wyboru: albo siedzieć w Gdyni, albo mniej lub więcej honorowo a szybko zginąć na morzu. Zamiast pierwszej ewentualności wystarczyłoby trzymanie w porcie poprostu kilku miljonów dolarów w worku, koszt i skutek ten sam. A zamiast drugiej, możnaby tamże trzymać w pogotowiu te same miljony i z tysiąc ludzi, a razie wybuchu wojny te pieniądze i tych ludzi wywiozłoby się parę kilometrów na morze i tam potopiło — koszt i skutek także ten sam...

To wygląda nieco drastycznie, ale już prawda ma to w swojej naturze, że jej zadaniem nie jest być ładną, ale prawdziwą.

Zakończmy krótko.

Albo w celowość obrony morskiej wierzymy i bierzemy ją na serjo, a w takim razie przygotowujmy ją na serjo, a nie tylko ograniczając się do rzewnego bajania już od dziesięciu lat o konieczności zwrócenia się „twarzą ku morzu" bez żadnych realnych skutków, gdyż nasze sfery wojskowe, jak dotąd, nie twarz swą bynajmniej kierują w tę stronę, albo w nią nie wierzymy i w takim razie bądźmy konsekwentni i ograniczmy się do motorówek, które dla straży celnej i ratowania tonących gości z plaży będą zupełnie wystarczające.

NAUTA

KOBIETA MUZUŁMAŃSKA DOBY NAJNOWSZEJ

WSCHÓD i Zachód składały się zawsze i składają się dzisiaj na całość dziejów ludzkości. Pierwszy wciąż jeszcze uważany przez przeciętną publiczność europejską za zagadkę niezrozumiałą, tajemniczością pociągającą—a przez polityków i kapitalistów Zachodu za teren nieograniczonej ekspansji, po wojnie światowej stanął względem drugiego w zdecydowanej postawie obronnej, a nawet zaczepnej. Wschód i Zachód, to dwa ogniska kultur biegunowo naprzeciw siebie umieszczonych i zasadniczo różnych.

Wschód stoi u bram swego renesansu. W pochodzie cywilizacyjnym ludzkości nie pozostaje w bezruchu. Powstał i, potykając się i kulejąc, idzie naprzód.

Początkowo bardzo powolna jego europeizacja zaczyna się na jakieś dwa dziesiątki lat przed wybuchem wojny światowej. Szybko przyjęła zewnętrzną europejską kulturę Japonja na Dalekim Wschodzie, Turcja zaś i Egipt na Bliskim. Muzułmański jednak element jest na działanie cywilizacji zachodniej bardzo odporny. Świat muzułmański zaczyna się europeizować dzięki pewnym wybitnym jednostkom właściwie dopiero po wojnie światowej.

Jednym z najważniejszych przejawów wpływu Zachodu na stosunki społeczne na Wschodzie, to ruch emancypacyjny kobiety muzułmańskiej. Podczas gdy u nas w sprawie wychowania współczesnej kobiety zjawiają się poważne zastrzeżenia — ruch feministyczny na Wschodzie jest w początkowem stadjum i rozwija się z siłą żywiołu. Nadzieja wyzwolenia się z dotychczasowej niewoli i upośledzenia targnęła miljonami serc niewieścich i rozpaliła płomień entuzjazmu dla nowych idej — od północnych wybrzeży Afryki poprzez Egipt, Syrję, Turcję, Persję, aż do Afganistanu, północnych Indyj i dalekich stepów Mongolji.

Pierwszy etap emancypacji kobiety muzułmańskiej przypada na lata 1905 — 1908 i prawie do wybuchu wielkiej wojny. W r. 1908 poczynają się kobiety muzułmańskie organizować w związki, mające na celu wywalczenie wolności wyboru zawodu, równości w rodzinie, zrzucenie zasłony z twarzy i t. p.

Ruch wolnościowy wzmaga się w czasie wielkiej wojny; byłby to drugi etap w rozwoju dążeń emancypacyjnych muzułmanek. Rola kobiety w czasie wojny, jako dzielnej pielęgniarki, sanitarjuszki i społeczniczki przyniosła jej upragnione wyzwolenie. W pełnem tego słowa znaczeniu wyzwolenie osiągnęła tylko kobieta turecka. Rząd angorski dopuszcza ją do uniwersytetu. [1]). Modernizacja Turcji przez Kemala Paszę przyczyniła się w wysokim stopniu do wzmożenia ruchu emancypacyjnego. W sierpniu 1925 spada zasłona z twarzy kobiety tureckiej. Tworzy się szereg związków kobiecych jak „Obrona praw kobiecych", „Kobieca partja ludowa" i t. p. Na kongresie w Konstantynopolu w r. 1927 kobiety rozstrząsają szereg doniosłych kwestyj, jak np. dopuszczenie do służby państwowej, pomoc państwa dla kobiet bez środków do życia, opieka nad matką i dzieckiem nieślubnem, zniesienie prostytucji i wiele innych.

W prasie tureckiej wywiązała się zażarta polemika na temat udziału kobiet w życiu politycznem. Jedni są zwolennikami prądów nowych, inni zagorzałymi obrońcami uświęconej wiekami tradycji. Nie zraża to jednak muzułmanki - tuczynki. Wnet osiąga ona stanowisko w administracji państwowej, zyskuje dyplomy na wydziałach prawniczych, lekarskich i ekonomicznych. Powstaje nawet towarzystwo drukarskie kobiet w Konstantynopolu. Rząd zakłada szkoły gospodarstwa domowego i inne szkoły zawodowe dla kobiet. Emancypacja postępuje z zawrotną szybkością. Specjalnie uzdolnione kobiety otrzymują stypendja zagraniczne. Na uniwersytetach niemieckich, włoskich, francuskich a nawet amerykańskich kobieta turecka zaczyna być częstem zjawiskiem.

Z wprowadzeniem stroju europejskiego (kapelusz obowiązkowy dla kobiet w służbie publicznej) okazuje się potrzeba modniarstwa. Znów więc turczynki udają się na Zachód.

Kobieta turecka nie pozostaje obojętna na sport i zaczyna powoli rywalizować ze sportsmenkami Zachodu. Jednym z najbardziej jaskrawych przejawów „europeizacji" Turcji, tak bardzo przeciwnych duchowi islamu, to konkursy piękności, urządzone w 1929 i w bieżącym roku. Do pierwszego stanęło 15 dziewcząt tureckich. Za kryterjum piękności przyjęto: piękność oblicza i kształtów, zdrowie, postawę, wysmukłość i gibkość.

Na wspomnianym wyżej kongresie kobiet w Konstantynopolu toczyły się nawet publiczne dyskusje na tak „nowoczesne" tematy, jak „stanowisko kobiety muzułmańskiej wobec Ligi Narodów"...

To, cośmy ogólnie dotychczas powiedzieli, odnosi się do kobiety muzułmańskiej w Turcji. W innych krajach muzułmańskich, jak dotąd, sprawa równouprawnienia kobiety nie przedstawia się tak łatwo. Przyjrzyjmy się kobiecie muzułmańskiej w Persji i Afganistanie, krajach, dokąd z trudnością dociera noga zaborczego europejczyka, zmuszanego często do przezornego odwrotu.

Obecne stanowisko kobiety perskiej dalekie jest jeszcze od trjumfu emancypacji. Jak dawniej, tak i w dzisiejszych czasach kobieta jest w zupełności zależna od męża. W życiu politycznem nadal nie ma prawie żadnych praw. I w Persji prawdziwa emancypacja kobiet zaczyna się dopiero po wojnie światowej, a właściwie po rewolucji bolszewickiej. Rewolucja ta, wstrząsnąwszy posadami dotychczasowego porządku, zburzywszy dotychczasowy ustrój — wywarła też wielki wpływ na kraje islamu.

W r. 1921 w Persji tworzy się związek kobiet perskich, który wydaje pismo p. t. „*Alam-i-niswan*" (Świat kobiecy), wkrótce zamieniony na „*Zeban-i-zenan*" (Głos kobiecy). Próby jednak wprowadzenia nowych idej, stojących w niezgodzie z przepisami islamu, zostały twardo stłumione.

---

[1]) Dalsza część artykułu, aż do ustępu, traktującego o kob. muz. w Indjach, opiera się w znacznej części na doskonałym artykule informacyjnym J. Castagné'ego „*Le mouvement d'émancipation de la femme musulmane en Orient*". „*Revue des études islamiques*". *Année 1929*. II. *Paris*.

Wielkiego przewrotu dokonało dopiero zjawienie się królowej Afganistanu, Suraji, w Teheranie bez woalu. Kobiety perskie poszły natychmiast w jej ślady, mimo wielkich trudności ze strony mężczyzn i kleru muzułmańskiego.

Ruch za równouprawnieniem wzmaga się w roku 1928, skutkiem czego kobiety perskie uzyskują możność pokazywania się publicznie bez zasłony. Zatwierdza to rząd perski pod wpływem modernizacji Afganistanu dzięki ówczesnemu królowi Amanullahowi.

Wygląda to nieco osobliwie, że nowe prądy z Zachodu przychodzą do Persji od strony przeciwnej, niżby się tego można było spodziewać. Był to prosty zbieg okoliczności.

Po uzyskaniu możności ukazywania się na ulicy bez *czadr*'a (zasłony) kobiety perskie walczą dalej o możność wspólnego ukazywania się publicznie z mężczyznami. Wywołuje to liczne protesty i gorące oburzenie. Ukazywanie się młodych kobiet w towarzystwie mężczyzn na ulicach miast wywołuje bójki uliczne. W prasie perskiej, podobnie jak w tureckiej, rozgorzała walka — jedni za, inni przeciw inowacjom.

Parę jeszcze uwag o ruchu wolnościowym muzułmanek w Afganistanie i Republikach Sowieckich. Tu sprawa przedstawia się jeszcze trudniej, a w niektórych okolicach tragicznie dla kobiety emancypantki. Kobieta afgańska do dziś dnia żyje w dawnych warunkach, prymitywnych, surowych. Amanullah Chan usiłował polepszyć jej dolę, dopuścić ją do szkół i życia publicznego — szło to jednak bardzo trudno. Podróż króla do Europy wzmocniła ruch feministyczny pośród Afganek. Po powrocie króla, Suraja, żona jego, siostra królowej i siostra króla ukazują się publicznie początkowo w przezroczystych woalkach. Amanullah wzywa kobiety do wyzwolenia się z przemocy mężczyzn i tradycyj — zakazuje poligamji. W listopadzie 1928 r. król każe zdjąć żonie zasłonę i poleca uczynić to wszystkim kobietom. Był to cios w samo serce zakorzenionym tradycjom. Kobiety przyjęły to początkowo ze strachem panicznym. Wkrótce jednak z wielką radością przyjęły wolę władcy.

Zasady religji jednak zbyt głęboko zakorzenione były w duszach dzikich Afganów, zapał króla dla oświaty i kultury Zachodu zbyt pochopnie i bezwzględnie się przejawił. Modernizacja kraju wywołała rewolucję, wskutek której Amanullah w dniu 14 kwietnia 1929 r. musiał abdykować i uchodzić z kraju — a Afganka wpadła z powrotem w dawną niewolę.

W republikach sowieckich, zamieszkałych przez wyznawców Proroka (Azerbejdżan, Gruzja, Armenja, Dagestan i Adżarja), silny ruch feministyczny wnosi wielka rewolucja bolszewicka w r. 1917. Burząc wszelki ustrój państwowy i kościelny, wypowiadając bezwzględną walkę tradycjom religijnym, zapoczątkowała nową erę w życiu kobiety muzułmańskiej.

Kobiety odgrywały ważną rolę w rewolucji jako czynnik pomocniczy. Na kongresie ludów wschodnich w Baku (1920) kobiety muzułmańskie domagają się zniesienia wielożeństwa, instytucji przedwczesnych małżeństw i skasowania *parandży* (zasłony). Kobiety usbeckie, kirgiskie, tureckie, mongolskie, kałmuckie, turkmeńskie, jakuckie, burjackie i t. d. żądają uwolnienia z dotychczasowej niewoli i dopuszczenia do życia publicznego.

Uparta walka przeciw zniesieniu zasłony rozgorzała w Turkestanie (1927). Zasłona uważana jest przez kobiety za symbol ich poniżenia i niewoli, przeciw niej więc głównie zwracają się wszystkie dążności emancypacyjne. Niektóre miasta turkestańskie urządzają „święto zniesienia *parandży*“. Kobiety palą publicznie zasłony, wieczorami zaś ukazują się swobodnie w miejscach i lokalach publicznych w stroju europejskim. Kler muzułmański i gorliwi obrońcy tradycji stają do walki z ruchem kobiecym. Mnożą się wypadki nieprzejednanego terroru. Represje rządu sowieckiego nie mogą zapobiec masowym gwałtom na kobietach — wolnomyślicielkach i mordowaniu ich dziesiątkami przez fanatyków. Władze sowieckie edyktem z marca 1927 biorą w obronę kobietę muzułmańską. Następują masowe aresztowania morderców i tracenia. Mimo strasznych aktów represyj ze strony swych mężów, ojców i braci dziesiątki tysięcy kobiet zrzuca zasłonę.

Dla pełności niniejszego szkicu należy wspomnieć jeszcze o kobiecie muzułmańskiej w Indjach. Wiadomo jaki odsetek muzułmanów zamieszkuje półwysep indyjski, zwłaszcza północne jego prowincje. Dlatego też i ruch feministyczny zaznacza się wyraźniej w Indjach północnych. Na półwyspie bowiem krzyżują się wpływy najróżnorodniejsze. Europeizacja Persji i Afganistanu robi też swoje. Los kobiety indyjskiej, będącej poniekąd pod opieką prawną, przedstawia się znacznie pogodniej, niż jej sióstr w Turkestanie. Potężny prąd niepodległościowy, okrążający całe Indje, ułatwia w wysokim stopniu emancypację kobiety indyjskiej, która wychowując się w sąsiedztwie muzułmanki, przyzwyczaiła się sama do nieopuszczania domu. Dziś kobiety indyjskie biorą udział w życiu publicznem, są dopuszczone do szkół i t. d. Po wsiach, rozumie się, kobieta jest daleko więcej odporna na działanie nowych prądów, lecz należy się spodziewać, że jeszcze jedno pokolenie, a stanie ona narówni z mężczyzną we wszelkich dziedzinach życia [2]).

W chwili obecnej sytuacja kobiety muzułmańskiej przedstawia się najtrudniej w Turkestanie. Walka o równouprawnienie pochłania wciąż nowe ofiary. Mimo wszystko zasłona jest jeszcze ciągle w użyciu.

Siew nowych haseł jakie, rzuciły wiatry, idące z Zachodu, rozrasta się już jednak w wielkie drzewo. Kobieta muzułmańska w wypadkach, miejscami tragicznie się rozgrywających, widzi płomień prewrotu i wytrwale, nie licząc się z ofiarami dąży do równouprawnienia. Wzorem jej jest kobieta Zachodu, która zajęła już wszystkie stanowiska we wszelkich dziedzinach życia współczesnego.

Stoimy w brzasku nowej epoki. Do głosu przychodzi Wschód w najszerszem tego słowa znaczeniu. Czy Wschód i Zachód, wyszedłszy naprzeciw siebie, podawszy sobie ręce, porozumieją się, aby iść krokiem zgodnym ku lepszej doli świata ? Trudno to przewidzieć, trudno odpowiedzieć twierdząco...

FRANCISZEK MACHALSKI

---

[2]) *Vide* mój artykuł „Kwestja niepodległości Indyj“ „Myśl Narodowa“, 1930, nr. 13, str. 197.

MOSKIEWSKIE GODY

ZBYT dobrze znane jest czytającemu ogółowi nazwisko literackie Stanisława Wyrzykowskiego, aby trzeba je tu przypominać. Jeden z szermierzy kultu piękna w ruchu Młodej Polski, współpracownik krakowskiego „Życia“ i miriamowskiej „Chimery“, poeta liryczny dużego talentu, który w marzeniu o pięknie wznosił się aż do zachwytu hymnu i modlitwy, tłumacz Multhera, Nietzschego, sonetów Szekspira, „Arabesek“ E. A. Poego, „Nostromo“ Conrada i miłośnik Słowackiego (rekonstrukcja sceniczna „Samuela Zborowskiego“) — odzywał się coraz rzadziej. I oto współczesność literacką wzbogacił powieścią historyczną [1]), która stworzona została z wielkiego trudu pisarza, zamiłowań historyka i filozofa.

Psychicznie — dwa światy, historycznie — dwa państwa, cywilizacyjnie — dwie kultury: Polska i Moskwa — suggestywnie zostały przedstawione w książce Wyrzykowskiego o moskiewskich godach i polskiem dziejowem posłannictwie. Autor, sięgnąwszy do kronik, pamiętników, relacyj i materjału historycznego — odtworzył wizyjnie nietylko charakter obu narodów, ale przedstawił nam epokę z pewną niewątpliwie autentyczną ścisłością, odmalował obraz stosunków polsko-rosyjskich z czasów Zygmunta Wazy, komentarzem swym wiążąc relacje w zamkniętą całość dokumentu. Z jednej więc strony rysuje nam wizerunek narodu, którego rozwój i znaczenie polega przedewszystkiem na tętniącem życiu kulturalnem i przez nie promieniuje w zasięgu cywilizacyjnym na ziemie etnograficznie obce. Dla sąsiadujących państw i narodów jest Polska Rzymem północy, wschodu i południowego wschodu. Tu znajduje się serce tej części Europy, która kulturę łacińską i zachodnią asymiluje „w wersji“ polskiej, tu jest przystań, gromadząca badawczą i niezależną myśl twórczą, tu wreszcie jedyna bodaj wyspa tolerancji i źródło wiedzy radosnej człowieka.

Jakże inaczej przedstawia się pod każdym względem kraj, oddzielony od nas znakiem granicznej linji. Dwa stulecia jarzma mongolskiego, zlewanie się słowian z finnami, krwawe widmo koczowniczych Pieczyngów i Połowców da nam z drugiej strony wizerunek narodu niewolników, których po dziś dzień siecze ręka władcy. Wąska linja graniczna urasta tedy do godności pełnego znaczenia symbolu, który oddziela te dwa światy skuteczniej, niżby to czynił ocean przed ujarzmieniem go przez człowieka.

Powieść Wyrzykowskiego jest kroniką historyczną o kunsztownej formie literackiej. Temat tej kroniki — dzieje Dymitra Samozwańca czy Maryny Mniszchówny był już w literaturze polskiej wyzyskiwany, że wspomnimy Niemcewicza, Krasińskiego, Szujskiego lub świetnego „Dymitra Joannowicza“ Adolfa Nowaczyńskiego. Ma więc już ów temat zarówno rozwiązanie i określone racje historyczne, jak i swe tradycje literackie. Wyrzykowski ma tę zasługę, że opracowując go po raz pierwszy w powieści — przydał mu barw, które nowem rozbłysły światłem, sporne zagadnienie historyków uwspółcześnił, z zagadnienia tego wykreślił tematyczne koło zawsze interesującego i żywego problemu: ku czemu Polska szła? Ku czemu szła Moskwa? Jest bowiem w książce Wyrzykowskiego akcent umiejscowiony w tendencjach Moskwy, który zadźwięczy później konsekwentnie, jeszcze przy rozbiorach Polski.

Pierwszoplanową postać Dymitra Samozwańca wystudjował Wyrzykowski dokładnie z wielu polskich i rosyjskich źródeł i przedstawił objektywnie, co ma swoje wady (operowanie wieloma, często wręcz z sobą sprzecznemi źródłami i charakterystykami), jak i zalety (najpełniejsze wyzyskanie materjału).

Powody, które skłoniły panów polskich i „czynniki zainteresowane“ do poparcia zamierzeń carskich Dymitra — stały sie zarazem przyczyną jego klęski i tragedji. Tolerancja, katolicyzm, strój, obyczaje i pewna cywilizacja gubią Dymitra wśród azjatów, poczytujących tolerancję za objaw słabości, litość za tchórzostwo, miłość za podstęp. A przytem — tylko ludzie genjalni stwarzają nowe warunki, Dymitr — awanturnik potrafił je tylko wykorzystywać, nic więc dziwnego, że przyszła chwila, w której musiał zginąć.

Maryna potraktowana jest bardzo oryginalnie i prawdopodobnie. Godunów i postacie „moskwiczynów“ kreślone są po mistrzowsku. Widzi się je.

Z ważniejszych niedociągnięć wymienić trzeba pewne niezdecydowanie autora przy operowaniu hierarchją źródeł, niekonsekwencje w fabule romansu Maryny z panem Gołuchowskim (właśnie: romans i „druga królowa Jadwiga“), przerost tła i dekoracji nad akcją powieści. Ten ostatni zarzut można cofnąć — zgodziwszy się, że „Moskiewskie gody“ są kroniką historyczną, której kompozycja powieściowa ściśle nie obowiązuje.

Zalety książki są natomiast tak wielkie, iż w zupełności przesłaniają owe „niedociągnięcia“. „Moskiewskie gody“ śmiało można zaliczyć do pierwszorzędnych utworów polskiej beletrystyki współczesnej. Sceny batalistyczne są świetne, rzeź moskiewska w grozie opisu i suggestji narracji jest ujęta tak plastycznie i wzruszająco, że wyjątki z niej winny się znaleźć w podręcznikach szkolnych.

Styl i opis odpowiada bogactwu tła dekoracyjnego.

Autor starannie wystudjował i podpatrzył charakter epoki, aż do najdrobniejszych szczegółów ornamentacyjnych. Zwłaszcza w rosyjskich partjach książki autor osiągnął duży sukces — przez śmiałe obrazowanie, język żywy i soczysty, plastykę opisu, wnikliwy dar obserwacji.

W rezultacie — „Moskiewskie gody“ są bardzo cenną pozycją naszej literatury współczesnej.

TEOFIL BERNARD SYGA

---

[1]) Stanisław Wyrzykowski: „Moskiewskie gody“. Legenda o tajemniczym carze. Cz. I. Wilki pod murami Kremla. Str. 316 + 1 nl. Cz. II i III — Zwycięskie słońce. Krwawy zmierzch. Str. 416 + 1 nl. Warszawa, 1930 r. Dom Książki Polskiej. Sp. Akc.

NA WIDOWNI

Teatr roku 1930: „Stulecie Nocy Listopadowej“. Osoby działające: Opinja Publiczna — Komitet Obchodowy — Historja — Juljusz Słowacki — Stanisław Wyspiański — W. Ks. Konstanty — Nike Napoleonidów. — Pokutujący Kordjan. — Demetra czeka próżno powrotu Kory. — Teatr i życie.

OPINJA publiczna Narodu, nie mająca myśli politycznej w stosunku do czasu obecnego, nie może mieć jasnego poglądu na najbliższą przeszłość — i *vice versa*. A dalej: dla Narodu, tworzącego przyszłość, czasem teraźniejszości nie jest bieżący rok — dajmy na to — 1930, lecz conajmniej stulecie. Jeszcze dalej: zamęt w poczuciu politycznem i historycznem musi mieć swój odpowiedni wyraz w stosunku publiczności do literatury. Następuje zamęt ogólny, w którym niewiadomo, co jest pozą, a co rzeczywistością.

Obchód stulecia Nocy Listopadowej w Warszawie nosi na sobie znamię tego poplątania zdrowego instynktu z manjerą stylizacyjną. Zwłaszcza ci, którzy obchodowi mieli nadawać ton, nie zdawali sobie dobrze sprawy, czy to jest rocznica klęski, czy triumfu; czy to ma być godne narodu żyjącego rozpamiętywanie, czy gloryfikacja ludzi i czynów, będących sprawcą klęski.

Odcinają się od siebie w Polsce dzisiejszej dwie generacje: 1) jedni są ci, którzy zdają sobie sprawę, że podmiotem dziejów jest naród, 2) a drudzy po dziecinnemu jeszcze mniemają, że podmiotem, bohaterem dziejów jest człowiek ten czy ów, a potem jego legenda. Wszystko jedno, co kto z narodem zrobił, aby był uświęconym legendą-modelem, na którym można się w lustrze wzorować. Ci są, którzy nie dorośli do pojmowania dziejów, dla nich poza więcej warta od sprawy. I tak się w te wzory weśnią, że na jawie życia nic innego w oczach nie mają, krom aktorów z przed stulecia; kto przeszedł w legendzie, tego rolę dziś grają w życiu: Wysocki — to Wysocki, Konstanty — to Konstanty. A gdy wypadnie festyn narodowy, to ludzie ci biorą go za swe imieniny.

Pamiętam w r. 1913, gdy świat widział już zbliżającą się wielką wojnę, — w Galicji szykowane już do broni przez Austrję młode pokolenie pod kierunkiem graczy politycznych paliło się żądzą obchodu 50-lecia powstania 1863/4. Ileż realniejsze były w ich duszach literackie alegorje powstania tego, niż rzeczywistość, co do której nie można się było porozumieć pod zaklęciem na dobro sprawy narodowej.

Kto chce naród obłąkać, może to zrobić przez patrjotyzm uczuciowy, czepiający się symbolów; wtedy można dać oręż do ręki nawet przeciwko rodakom tym, co widzą rzeczywistość i dlatego tylko, że widzą. Kult patrjotyczny chorągwi narodowych mogą uprawiać ludzie, nie tający dla narodu samego pogardy.

To też ludzie tego typu znaleźli w obchodzie okazję do zamanifestowania swej „ideologji“ i nie chcieli słuchać żadnych historycznych poglądów na powstanie, upatrując w krytyce polityki ówczesnych powstańców chęć pomniejszenia chwały polityki obecnej; ona bowiem jest dalszym ciągiem tamtej. Organ urzędowy „Gazeta Polska“ pisał 27 listopada pod adresem „Myśli Narodowej“:

„Znana jest nienawiść przywódców endecji do wydarzeń, z których pokolenia bojowników wolności, aż do Piłsudskiego włącznie, czerpały swe natchnienia“.

Skoro chodzi o natchnienie polityczne, to oczywiście trzeba było w rocznicę wystawić na scenie teatru Narodowego „Kordjana“. Bohater Słowackiego jest istotnie prototypem natchnionych działaczy romantycznych. Kreował go poeta, gdy modne były Farysy i Manfredy, w parę lat po rewolucji, w głębokiem przekonaniu, że postacią swego improwizatora politycznego sprosta mickiewiczowskiemu Konradowi. Nie sprostał, bo zabrakło mu dwu drobnych rzeczy: myśli i serca. Mickiewicz był również romantykiem-indywidualistą, ale w „Improwizacji“ stopił swoje serce z narodem i jego myślą zapłonął; dał zarys symboliczny natchnionego Narodu. Słowacki wierzył w ideę poetycką i w słowa; obdarzył wszystkiem, co miał, Kordjana, znudzonego od chłopięctwa młodziana. Dla odmiany, gdy mu wszystko zbrzydło, Kordjan jął się patrjotyzmu. Śniadecki odróżniał imaginację od wyobraźni i egzaltację od uczucia; odróżnił przeto Kordjana od Konrada.

Kordjan spadłszy (dosłownie) z obłoków (ze szczytu Mont Blanc) postanowił zrobić w Warszawie rewolucję. Wiele bardzo mówi, podniecając fajerwerkami słów duszę i wyobraża sobie romantycznie, że punkt ciężkości podejmowanego czynu politycznego leży nie w rzeczy narodowej, lecz w bohaterze, że sama sprawa to detal, bo szczytem czynu jest bohaterstwo i poświęcenie. Oczywiście bohater romantyczny nigdy nie może przegrać. Bo cóż klęska? On będzie potem triumfował, jako bohater cierpienia. Sprawa sama dla Kordjana, to tylko piedestał. Był już na szczycie Mont Blanc, jako „posąg człowieka, na posągu świata“, a teraz będzie na szczycie sprawy polskiej, jak kogut na płocie. Wszystko jedno — może być płot, może być pusta beczka.

Słowacki wszystkich, którzy wonczas nie pochwalali tego romantycznego do Sprawy stosunku, odsądził w Kordjanie od czci, więc i Chłopickiego i Czartoryskiego i Niemcewicza. Był to dla niego w r. 1832 — 4 obóz „obwiepolski“. Antoni Małecki (ur. 1821) był młodszy od Słowackiego o lat 12, mógł być też romantykiem, ale on był z Wielkopolski i wiedział coś o obowiązku myślenia politycznego, był z Napoleonidów. To też, pisząc o „Kordjanie“ (1866), obruszył się na sąd Słowackiego:

„Powziąć lekkomyślnie postanowienie — wykonać je gorzej, niż niedorzecznie — rozdmuchać pożar — potem nie wiedzieć, co z nim począć — w braku lepszej rady przyjść do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia, ani tradycja nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło, z którem nie mieli żadnej wspólności, i powiedzieć im na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiem winić ich i przeklinać za to, że się ta zgóry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dziać się może tylko w społeczeństwie tak zupełnie pozbawionem zmysłu politycznego, jak nasze!..“.

Minęło od tego czasu, gdy Małecki tak pisał, zgórą lat 60, a jakże niewiele w kulturze zmysłu politycznego postąpiliśmy, skoro ludzie, nadający ton życiu politycznemu i kierunek, właśnie „Kordjana“ na galowe przedstawienie wybierają. W ostatnich dniach wielkie wrażenie zrobiła mapka, malowana barwami według wyniku wyborów. Jasna świadomość interesu narodowego zaznaczyła się wymownie na terenach starej Polski, im dalej na wschód, tem większe ciemności, a Warszawa na pograniczu — jeszcze w r. 1930 myśli po ciemku! Stara Małopolska, wyniszczona ideowo przez Austrję, znowu czarna! Przyszłość jaśniejsza zbliża się do

Warszawy od północnego Mazowsza. Sporządźcie mapkę umysłowości politycznej Polski według wskazówek literatury i danych najświeższych z historji, a będziecie mieli obraz podobny. To, co Małeckiemu wydawało się w r. 1866 aksjomatem myśli narodowej, do dziś w Warszawie jest sporne. Romantyzm przecie szedł od wschodu, jak i dzisiejszy ruch pseudo-romantyczny.

Publiczność warszawska już trochę wyprzedza tę zapóźnioną i zwyrodniałą romantyczność czasu naszego, więc słuchała „Kordjana" z pewnem roztargnieniem i miejscami zdziwieniem. „Kordjan" w intencji Słowackiego miał uzasadnić czyn zbiorowy koniecznością reakcji na okrucieństwa ks. Konstantego. To też, gdy w odsłonie koronacyjnej okrzyk na scenie wywołać miał nastrój grozy: „zatratował dziecko"! — publiczność trącała się łokciami: Słowacki chce nam imponować!

A kiedy tak dziełu myśl poetycka przewodzi, a poeta pociągany efektem siły ku ks. Konstantemu, nakłada barw na tę postać i wbrew prawdzie czyni go jednostką dodatnią w odruchach, to w głowach czyni się już zamęt zupełny, taki sam właśnie, jak w życiu.

W teatrze Polskim, który jest instytucją prywatną i mniej zależną od prądów z góry, wybrano dzieło na ten obchód stuletni z większym smakiem. Teatr Polski wystawił „Noc Listopadową" Stanisława Wyspiańskiego.

„Kordjan" ma lat sto bez czterech, „Noc" Wyspiańskiego niespełna lat 30. Daty tych dzieł przegrodziły dwa pokolenia. Jakiż to wielki postęp! W sztuce? W myśli politycznej? Nic — w podstawie obojga: w kulturze wyobraźni narodowej.

Dzieło Wyspiańskiego — rzecz znamienna — nie ma głównego bohatera, któryby, przed rampą stojąc, imponował ludzkości swojem *bel-canto*. Jest to wielka symfonja, gdzie głosy czasu rozłożone są na wielość instrumentów, tworzących chór duszy narodowej. Bohaterem dramatu dziejowego jest już naród; postać znaczona dawniej w sztuce przy pomocy alegorji, potem za czasów romantyzmu — personifikacyjnie w bohaterach, a w naszych czasach szukająca dla siebie wypowiedzenia w symbolach. Wyspiański czuje naród jako zjawisko kosmiczne i wyrażające swój byt duchowy w czasie, jak muzyka. Rozkłada zjawisko to na elementy i zestraja. Dla niego czasy płyną tradycją. Okres zamknięty ma swoje pogłębienie w nieskończonej perspektywie czasów, z których każdy zostawił swój motyw, dający się uchem poetyckiem wyłowić. Czemże są posągi klasyczne w Łazienkach lub teatr grecki w tym parku, jak nie śladem zewnętrznym motywów antycznych, użytych niegdyś przez kulturę do wychowania duszy narodu. Motywy te przy napięciu wyobraźni, poeta odnajduje w duszy polskiej i stara się sharmonizować z gestami swoich bohaterów. W genjalnym pomyśle teatru Rozmaitości z r. 1830, gdzie wszystko splątane w wielu planach, przeczuł naszą widownię historyczną z r. 1930.

Patrząc na okresy zamknięte, jako na wynik ubiegłych okresów, ma w sobie coś z determinizmu końca XIX w., ożenionego z antyczną wiarą w *fatum*: tak być musiało. Ale Wyspiański wierzy w życie, nie wierzy w śmierć: umierać musi, co ma żyć!

Mówi tak przez niego samo życie, dla którego utrata tej wiary już byłaby śmiercią; tak wierzyć musi w siebie naród. Bo czyż zima, mająca wszystkie cechy śmierci, jest śmiercią? W momencie, kiedy młodzież, namówiona do spisku, oczekuje chwili na moście w Łazienkach, Wyspiański już wie, że sprawa ich stracona i że naród, doznawszy klęski, zejdzie do Hadesu niewoli. Wtedy nastręcza mu się motyw starogrecki, eleuzyjski i nim pokonywa narzucony naturze polskiej, obcy jej motyw mesjaniczny. I tu spoczywa główna idea dramatu.

Przychodzi zima na żyzną niwę polską. Kwietna i siewna Kora (Persefona) żegna się z matką Demetrą, odchodzi bowiem na pewien okres do Hadesu. Matka w rozpaczy, że córka zostawia ją z grobami, a Kora ją pociesza, że zima ma swój kres. Są to tylko pozory śmierci; siły tylko spoczną, są wiecznotrwałe:

Tam wszelki żywot ma swój byt
i czeka aż dłań błyśnie świt...
My oto, matko, zartwychwstaniem
na wielkie Siewu święto...
Gdy wszystko żywe musi lec
pod ręką, która znaczy kres —
śmierć tych użyźnia nowe pędy
i życie nowe sieje wszędy.

Wyspiański różni się od romantyków wiarą w glebę, w siłę kosmiczną narodu. Nie astrologiczny jest, jak romantycy, nie wywyższa narodu ponad prawa życia ziemskiego, lecz jest organiczny, wierzy w mądrość życia. Wyspiański nie dożył niepodległości Polski, ale poprzez wiarę swoją już ją widział. Zima przeminie, jak sen, a ci, co wiosną wyjdą z pługiem, wezmą się do rozumnej pracy. Nie będzie już Chłopicki grał o swoje losy z Nike Napoleonidów. Kora tą myśl dopowiada:

Gdy więzy śmierci skruszę
i zieleń pędów nowych rzucę
na niwy, łęgi, na zagony —
o, matko, bogów godna praca! —
sposobić każ lemiesze, brony...

Oto przyszła ta wiosna naprawdę, ale jej nie wierzą, czy prawdą jest, ci, którzy do słów tylko przywykli a gestów. Nie rozumieją, by praca była godna bogów; rdzewieją w ich rękach lemiesze, natomiast co chwila zażega się krwią nienawiść. Walczy naród z narodem. Upiory rewolucji! Pallas Atene, uchodząc z polskiego pola walki, gdy ją pytają boginki: Co będzie z narodem? Ostawisz ich z ich krwawym głodem? — odrzekła:

Naród będzie walczył z narodem...
Nieszczęść dopełnią sami,
gdy krokiem pójdą wstecz!

Myśmy poszli krokiem wstecz. Nie byłoby potrzeby wżerać się myślą w przeszłość i oblekać się w żałobę po dawnych klęskach; wystarczyłoby złożyć hołd męstwu junackiemu wojska polskiego z przed lat stu, a w dumie, że przetrwało się cierpienie, znaleść pewną radość, — gdyby życie pozwalało traktować *teatrum* historyczne jako coś, co minęło; gdyby Kora, wracająca z Hadesu niewoli zimowej z naręczem kwiecia, nie lękała się widoku rzeczywistości i nie cofała kroków. Jak tu stawiać krzyż na dziejach klęski, gdy żyjący wołają: „my z tych czasów czerpiemy natchnienie na dni nasze. My także, jak tamci za nic mamy rozum i rację narodu; naszem hasłem naprzód działać, potem myśleć". Nie koniec klęsk i hańby!

Nie można wstrząsnąć dusz teatrem rzeczy dawnych, gdy te rzeczy blędną wobec rzeczywistości, gdy utrapiona dniem dzisiejszym myśl widzi w dodatku w tamtych czasach zarody zła obecnego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O WYMAWIANIU W JĘZYKU POLSKIM

(List do redakcji)

W №№ 46 — 49 swego cennego pisma zamieściła Sz. Redakcja w charakterze dyskusyjnym ciekawy artykuł p. Jana Zamorskiego: „Uwagi nad powstaniem listopadowem". Należyte wyświetlenie zagadnienia jest rzeczą pierwszorzędnej wagi i podjęcie sprawy uważam za zasługę redakcji. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na dwa ubocznie rzucone twierdzenia p. Zamorskiego, których należyte wyświetlenie uważałbym również za bardzo pożyteczne.

Według pierwszego z tych twierdzeń, winę za wybuchy w Warszawie nieobmyślonych powstań ponosi ta nierdzennie polska ludność ziem wschodnich, która przyłącza się do nich wprawdzie z pewnem opóźnieniem, ale która ma rzekomo inną, niż rdzenni Polacy, żywą tradycję w sercu, obojętnie traktuje wspomnienia Piastów i Jagiellonów, żywi natomiast kult powstań. Wyjaśnienie tej sprawy, stwierdzenie krytyczne tych regjonalnych różnic psychicznych uważałbym za rzecz nader doniosłą i zachęcałbym ludzi kompetentnych do zabrania głosu.

Według drugiego z tych twierdzeń, język polski „przeszedł pod wpływem ruszczyzny ogromne przeobrażenia" a mianowicie: „stracił rdzennie polskie *a* długie, czyli przegłoszone, stracił w wymowie *o* pochylone, które dziś się wymawia pod wpływem ruszczyzny jako *u*, stracił dźwięk *rz*, który dziś się pisze, ale w wymowie od *ż* nieodróżnia; nabył zaś zupełnie obcy, czysto ruski dźwięk: *h*, który w rdzennie polskim nie istnieje" i t. d.

Otóż, nie jestem wcale lingwistą, ale te twierdzenia autora wydają mi się błędnemi i jeżeli mógłby się powołać w wielu razach na podobne twierdzenia naszych gramatyków, to, zdaniem mojem, byłoby to dlatego jedynie, że sprawa wymawiania dźwięków języka polskiego jest u nas traktowana w sposób niedbały i arcy uproszczony. W gramatykach francuskiej lub angielskiej odróżnia się kilka sposobów wymawianiu dźwięku, dajmy na to, *e*, u nas powiada się sumarycznie: dźwięki *b*, *d*, *w* na końcu wyrazu, lub — w pewnych wypadkach — zgłoski, wymawia się, jak *p*, *t*, *f*, *ó* wymawia się jak *u*, *rz* jak *ż*, *h* jak *ch* i t. d.

Otóż, ucho moje mówi mi, że tylko żydzi stosują się ściśle do tych wskazówek i krzyczą na ulicach Warszawy: „do japki! do ślifki"! (przez *p* i *f*), oraz nie umieją odróżnić w wymawianiu żydka od żytka, utożsamiają mur i mór i t. d. Co do dźwięku *h*, *ch* wprawdzie wszyscy bodaj koroniarze nie odróżniają w wymowie hartu (duszy, lub stali) od charta (psa), zachodzi jednak pytanie, czy dźwięk *h* jest zupełnie obcy, czysto ruski, czy nie zachował się w innych językach słowiańskich i czy nie istniał w pierwotnej polszczyźnie. Pamiętam dalej, że kiedym się uczył pisowni polskiej, nie odczuwałem żadnej trudności w rozstrzyganiu kwestji, gdzie mam użyć *rz*, a gdzie *ż*, dla mnie bowiem dźwięki te nie brzmiały jednakowo. Co do *ó*, to przypominam sobie, że za mych studenckich czasów późniejszy wybitny działacz polityczny Aleksander Więckowski, człowiek bardzo rozległej sfery zainteresowań umysłowych, tłumaczył mi, że *u* wymawia się z wargami złożonemi w wydłużony ryjek, *ó* zaś z wargami tuż przy zębach. Uważałbym, że także omówionym wyżej poglądem powinniby się zainteresować nasi uczeni, wiele bowiem jest jeszcze do zbadania w tej sprawie.

JÓZEF HŁASKO

WYCHOWANIE NARODOWE

WYCHOWANIE RELIGIJNE W SZKOLE POLSKIEJ

STOSUNKOWO mały udział brało dotychczas duchowieństwo w dyskusjach nad organizacją naszego szkolnictwa, programami szkolnemi i wszelkiemi zagadnieniami pedagogicznemi. Pojawiły się tu i tam krótkie artykuły w tych sprawach, lecz brakło poważniejszego dzieła, rozstrząsającego gruntownie i naukowo kwestje szkolne w Polsce współczesnej z punktu widzenia Kościoła Katolickiego. Lukę tę wypełnia książka ks. Klepacza[1]). Z rzadką u nas sumiennością zebrał autor materjały dotyczące naszego szkolnictwa; każde ważniejsze zagadnienie rozpatruje on metodycznie, analizując argumenty jednej i drugiej strony; każde też twierdzenie popiera dokładnemi cytatami z przemówień ministrów, posłów, działaczy szkolnych, z rozporządzeń władz, z artykułów pism pedagogicznych, podając zawsze najdokładniej wszelkie źródła — słowem, książka jest solidnie zrobiona i wzbudza przez to pełne zaufanie.

Składa się ona z ośmiu artykułów, które ukazały się poprzednio w „Kieleckim Przeglądzie Djecezjalnym". Oto tytuły poszczególnych rozdziałów: Potrzeba zainteresowania się szkołą; Statystyka szkolnictwa w Polsce; Związki nauczycielskie w Polsce; Szkoła jednolita, a reformy szkolne; Monopol szkolny; Szkoła a religja; Koedukacja; Idee wychowawcze w szkole polskiej. Jak widzimy, poruszone zostały sprawy najbardziej aktualne i każda z nich zasługiwałaby na dokładniejsze omówienie. Ponieważ niepodobna tego uczynić w krótkiem sprawozdaniu, zaznaczę tylko, że we wszystkich tych zagadnieniach broni ks. Klepacz dążności umiarkowanych, katolickich i narodowych. Powiedziałbym nawet, że niekiedy posuwa się autor za daleko w swem dążeniu do unikania ostrzejszego stanowiska i tak np. broniąc szkoły wyznaniowej, dodaje: „Jeżeli zaś znajdą się tacy, którzy dla swych dzieci zażądają szkoły bezwyznaniowej, niech im państwo da prawo założenia szkoły areligijnej, lub prawo zwolnienia od udziału w życiu religijnem szkoły". Jest to liberalizm zrozumiały z punktu widzenia czysto teoretycznego; wprowadzony jednak w życie, wywołałby wkrótce prawdziwe spustoszenia w wychowaniu religijnem naszej młodzieży.

Za to bez żadnych zastrzeżeń można się pisać na to, co ks. Klepacz mówi o wychowaniu państwowem, ulubionym koniku naszego Ministerstwa W. R. i O. P. Istotnie nie jest zrozumiałe nieustanne przeciwstawianie ze strony naszych władz szkolnych wychowania państwowego wychowaniu narodowemu na niekorzyść tego ostatniego. Gdyby takie oświadczenia oficjalne odnosiły się do t. zw. „mniejszości" narodowych, to byłby zrozumiały nie-

[1]) Ks. Michał Klepacz. Duchowieństwo wobec nowoczesnych prądów w szkole polskiej. Kielce 1930.

pokój władz państwowych i ich troska o wychowanie lojalnych obywateli państwa wśród obcych narodowości. Tymczasem zwalcza się wychowanie narodowe polskie, jako przeszkodę wychowania państwowego.

„Wnikając głębiej",—mówi dalej autor,—„w to napozór niezrozumiałe stanowisko, dostrzegamy to, że rządy, które są wypadkową walk politycznych i wpływów międzynarodowych, nieraz tajnych i nieuchwytnych, idą często po linji, sprzecznej z interesem danego narodu.

Pozatem doktrynerstwo, od którego nie zawsze są wolni piastuni władzy rządowej, nadaje polityce kierunek niezgodny z misją dziejową narodu. I to jest charakterystyczne, że takie rządy identyfikują się z państwem, zapominając o trwałości państwa, a przejściowości rządów i polityki. Wobec tego nieraz naród musi, niestety, przeciwstawić się polityce i kierunkowi własnego rządu. Wychowanie więc państwowe musi uwzględnić ten moment i nie umniejszać wychowania państwowego do lojalności w stosunku do danego rządu.

Pozatem rząd... rozgrzesza się nieraz ze złamania słusznych praw jednostek, zapominając o tem, że prawo jest ponad państwem. I stąd wychowanie państwowe musi być wychowaniem w idei p a ń s t w a p r a w o r z ą d n e g o".

Na jaknajbaczniejszą uwagę zasługuje rozdział III, zatytułowany: „Związki nauczycielskie w Polsce oraz ich stosunek do religji i duchowieństwa". Autor daje całkiem krótką informację o stowarzyszeniach umiarkowanych, stojących na gruncie katolickim i narodowym, mianowicie o „Towarzystwie Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych" (T. N. S. W.) i o „Stowarzyszeniu Chrześcijańsko-Narodowem Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Polsce"; nie wiele też słów poświęca „Związkowi Zawodowemu Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich", grupującemu w sobie stosunkowo niewielką ilość radykalnych nauczycieli szkół średnich. Natomiast najdłużej zatrzymuje się autor przy omawianiu „Związku Nauczycielstwa Polskich Szkół Powszechnych" z uwagi nietylko na to, że jest to najliczniejsze zrzeszenie nauczycielskie (w r. 1927 liczyło 39.598 członków, a dziś liczba ta jeszcze bardziej wzrosła), ale i z tych względów, że jest ono wyraźnie faworyzowane przez obecne rządy, widzące w nauczycielach związkowych główną podporę swej akcji politycznej, zwłaszcza wyborczej.

Autor podkreśla z uznaniem wielki wysiłek Związku nad polepszeniem bytu i podniesieniem poziomu umysłowego wśród nauczycielstwa szkół powszechnych, wylicza wszystkie wydawnictwa Związku, jak też i jego wspaniałe przedsiębiorstwa kulturalno-oświatowe, turystyczne i lecznicze. Z kolei jednak przechodzi do scharakteryzowania ideowego oblicza Związku Nauczycielskiego. Z wielką słusznością odróżnia on zarząd od ogółu członków. Aczkolwiek wygląda to na paradoks, to jednak rzadko w jakiem stowarzyszeniu jest tak wielka rozbieżność poglądów, jak właśnie w „Związku". Ogół nauczycieli składa się z jednostek złych i dobrych, umiarkowanych i radykalnych, jak wogóle wszelka społeczność ludzka, ale niewątpliwie znaczną przewagę liczebną mają ludzie wierzący, o silnych przekonaniach narodowych. Są oni natomiast mało ruchliwi: pozwolili też czynnikom radykalnym, choć mniej licznym, zawładnąć zarządem „Związku".

Ludzie, stojący na czele Związku, świadomie i wytrwale prowadzą walkę z duchowieństwem, równocześnie rozwijając z wielką ostrożnością i zręcznością propagandę antyreligijną. Poprzednio byli oni członkami obozów najbardziej radykalnych („Wyzwolenie", P. P. S.), dziś należą prawie wszyscy do „Bloku Bezpartyjnego" (B. B.), tak że Związek nabrał charakteru prawie rządowego. Licząc się z tem, wypowiadają się działacze związkowi bardzo ostrożnie o religji i jej nauczaniu. Wrogi jednak stosunek do religji występuje raz po raz i autor cytuje liczne tego przykłady. I tak w miesięczniku „Wiedza i Życie", redagowanym przez p. Janusza Jędrzejewicza, obecnie wpływowego wiceprezesa klubu B. B., jest w nr. 8-9 artykuł, w którym czytamy takie zdania:

„Legendę o cierpiącym bogu, umierającym śmiercią męczeńską wczesną wiosną, znajdujemy w wielu religjach... Zjadanie ciała boga przeszło czasem w symbol... I wszędzie tam, gdzie znajdujemy legendę o takim cierpiącym bogu, widzimy, iż bywa on uśmiercony właśnie wtedy, gdy kończy się okres jego młodości, mniej więcej około trzydziestego trzeciego roku życia".

W artykułach o wolnomularstwie występuje tendencja filomasońska n. p. podkreślono z zadowoleniem, że ks. Adam Czartoryski był wrogiem wychowania młodzieży przez duchowych, w innych artykułach tego miesięcznika wysławia się tych, którzy zwalczali chrześcijaństwo i bronili szkoły świeckiej. Pouczającą zwłaszcza jest kampanja przeciw obowiązkowi nauczycieli nadzorowania młodzieży przy wykonywaniu praktyk religijnych.

Centralny organ związku, „Głos Nauczycielski" roi się od artykułów wrogich dla duchowieństwa, natomiast nigdy nie znajdziemy w nim choćby najmniejszej notatki na wykazanie, ile to dodatnich stron ma życzliwy wzajemny stosunek księży i nauczycieli. Gdzie tylko może, wszędzie usiłuje „Głos Nauczycielski" dyskretytować duchowieństwo, podając fakty, może i prawdziwe, ale zaprawione nienawiścią i dążnością uogólniającą. Autor cytuje z pięciu roczników (1925 — 1929) 31 takich artykulików, których tytuły mówią same za siebie „Podburzanie ludzi przez księdza przeciw nauczycielowi", „Stare metody Jezuitów", „Spalenie nauczyciela w Hiszpanji", „Ksiądz znieważa nauczycielstwo", „Kto nas obroni przed zniewagami kleru" i t. d.

Nic też dziwnego, że czytelnicy „Głosu Nauczycielstwa", wychodzącego w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy i miesięcznika „Wiedza i Życie", karmieni systematycznie takiemi bombami, przejmują się powoli ideologją wrogą dla religji i dochodzi już do tego, że na pewnem zebraniu nauczycielskiem, liczącem około 40 osób, prelegent wygłosił odczyt, zachwalający szkołę antyreligijną, a w dyskusji kilkunastu mówców podawało mniej lub więcej zręczne sposoby podkopywania religji w duszach dziatwy szkolnej. Rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa. Dzieje się ona u nas, w Polsce katolickiej i pisze o niej bardzo dokładnie Artur Górski w „Liście do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej" (wyd. „Dom Książki Polskiej"). Ma też wielką zasługę ks. Klepacz, że wykazał w swej książce te drobne, nieustannie powtarzające się posunięcia zwolenników szkoły świeckiej, chcących wyrwać z duszy polskiej to, co jest najpotężniejszą jej dźwignią.

Książka ta powinna przedewszystkiem obudzić tysiące nauczycieli związkowych z ich ospałości lub obojętności. Prawdziwym to wstydem dla

nauczycieli katolickich, że nietylko nie wywalczą sobie przedstawicielstwa, odpowiadającego przekonaniom większości, ale co więcej, że swą masą bezczynną wzmacniają autorytet rzekomych przewódców. Książka ta prawdopodobnie dotrze także do rąk czynników oficjalnych. Przeczyta ją zapewne ks. Żongołłowicz, wiceminister Min. W.R. i O.P., który przed kilku tygodniami w wywiadzie dziennikarskim mówił, że ma „rękę na szkolnictwie" i że nie dopuści w szkolnictwie do walki z Kościołem. Po przeczytaniu książki zrozumie ks. wiceminister, że alarm, wszczynany przez ludzi dobrej woli, nie jest bezpodstawny i że najwyższy czas działać. Nie chodzi tu naturalnie o jakieś represalje wobec Związku. Nie mówiąc o tem, że są one niemożliwe wobec wpływów potężnych zarządu, to nawet gdyby i były możliwe, nie należałoby ich stosować, gdyż w podobnych sprawach wszelkie negatywne działanie wywołuje skutki odwrotne do zamierzonych. Chodzi o rzecz daleko skromniejszą: o niedopuszczenie do tego, by władze szkolne, wbrew najprymitywniejszym zasadom sprawiedliwości i rozumu, faworyzowały stale nauczycieli związkowych. Obsadzanie wszystkich posad w szkolnictwie od najskromniejszych do najbardziej wpływowych przez nauczycieli, popieranych przez zarząd Związku, doprowadzi do tego paradoksalnego wyniku, że szkoła nasza w czasach, gdy wiceministrem jest ksiądz katolik, znajdzie się w zupełności w rękach wrogów Kościoła.

PIOTR KOWALSKI

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO I NAUKOWEGO

Jury państwowej nagrody literackiej przyznało tegoroczną nagrodę (w wysokości 20,000 zł.) Jerzemu Szaniawskiemu za sztukę p. t. „Adwokat i róże."

W skład *jury* wchodzili: prof. Ujejski i dr. Kołaczkowski, jako delegaci Min. W. R. i O. P., oraz pp. J. Parandowski, dr. Furmanik, K. Wroczyński i J. A. Hertz — jako przedstawiciele związków i stowarzyszeń literackich.

Decyzję przyznania nagrody państwowej autorowi „Papierowego kochanka", „Ptaka", „Adwokata i róż" — uznać należy za postanowienie ze wszech miar trafne i szczęśliwe. Jerzy Szaniawski istotnie znakomicie wyróżnia się pośród współczesnych komedjopisarzy polskich wytwornością i rzetelnością artystyczną swojej twórczości. W polskich kołach literackich odznaczenie twórcy „Żeglarza" spotka się niewątpliwie z powszechnem uznaniem.

*

W Warszawie odbył się V Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Przewodniczył prof. St. Zakrzewski. W tematach obrad zjazdowych nawiązano do aktualnych rocznic: stulecia powstania listopadowego, pięćsetnej rocznicy śmierci Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda (piękny referat przygotował prof. Oskar Halecki) oraz siedemsetnej rocznicy sprowadzenia do Polski Krzyżaków. Na uroczystem otwarciu zjazdu, referat inauguracyjny wygłosił prof. M. Handelsmann p. t. „O n a s z dzisiejszy stosunek do historji porozbiorowej".

Zjazd nie stał się wielką manifestacją naukową, jaką był np. odbyty przed kilku miesiącami, wspaniały krakowski zjazd ku czci Jana Kochanowskiego. Uczonych zagranicznych przybyło tym razem niewielu, pośród nich wybitni badacze: prof. Lhéritier, prof. Vigander, prof. Bidio. Nie brało udziału w obradach wielu najwybitniejszych historyków polskich.

Na szczególną uwagę zasługuje wydanie „Księgi pamiątkowej", zawierającej streszczenia referatów, nietylko wypowiedzianych na zjeździe, ale tych również, początkowo zgłoszonych, których autorzy nie przyjęli następnie udziału w obradach zjazdowych.

*

W dniu 2 grudnia r. b. uczestniczyliśmy w pięknej uroczystości otwarcia i poświęcenia nowego gmachu Bibljoteki ordynacji hr. Krasińskich. Akt odbył się w pięknej czytelni publicznej wobec licznie zgromadzonych gości ze świata naukowego i literackiego, w obecności Prezydenta Rzplitej, przedstawicieli władz i duchowieństwa. Poświęcenia dokonał ks. biskup Szlagowski. Twórcą specjalnego gmachu w stylu empirowym na ul. Okólniku, 9 jest obecny ordynat Opigonogórski, Edward hr. Krasiński. On osobiście jest głównym pracownikiem zakładu, zwłaszcza działu muzealnego. Zupełnie instytucji oddany, z zapałem zbogaca zbiory i z otwartemi rękami wita pracowników naukowych. Z okazji otwarcia gmachu wyszły trzy druki, poświęcone bibljotece: dyrektora Jana Muszkowskiego „Bibljoteka ordynacji Krasińskich w latach 1844 — 1930", „Sprawozdanie Bibljoteki i Muzeum ord. Krasińkich, 1928 — 1930", oraz „Przemówienie E d w a r d a K r a s i ń s k i e g o na uroczystem otwarciu Bibjoteki i Muzeum". W tej chwili Bibljoteka liczy już zgórą 200.000 tomów, w tem druków z wieku 15 i 16-go — 1755, rękopisów 5815. Katalog znakomity. Książki ustawione formatami, co sprzyja konserwacji i oszczędza miejsca. Społeczeństwo w przemówieniach na uroczystości dało wyraz uznania i wdzięczności dla ordynacji i jej obecnego przedstawiciela.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

L e o n D a u d e t należy bezsprzecznie do najciekawszych postaci współczesnej Francji. Niezwykła energja życiowa, szeroka skala zainteresowań, bystra i przenikliwa inteligencja, prawość człowieka, nieprawdopodobna wprost pracowitość zdumiewają i jednają mu szacunek nawet namiętnie zwalczanych przeciwników. Ogromna płodność literacka Daudeta jest wręcz nieprawdopodobna. Oto w ciągu 29 miesięcy wygnania napisał Daudet 21 tomów krytyki literackiej, powieści, polityki, wspomnień. Trzy tomy wspomnień szczególnie zasługują na to, by się niemi zająć.

Zaznaczamy od razu, że wartość literacka dzieł Daudeta jest nierówna, wspomnieniom szczególnie dużo zarzucićby można pod tym względem (częste powtarzanie się, nielogiczne dygresje i in). Czyta je się jednak z niesłabnącem zainteresowaniem, bo Daudet jest urodzonym *causeur*'em. Jego proza ma ten sam urok co proza pani de Sévigné — bezpośredniość, dowcip, i inteligencję — brak jej jednak tej subtelności i umiaru, które cechują prozę tej autorki. Czytając Daudeta, słyszy się go, i to jest przyczyną, że lektura dzieł Daudeta, mimo powtarzania się rozmaitych myśli, epizodów i historyj — nie nuży.

Wspomnienia swe ujął Daudet w dwa tomy: „*Paris vécu (rive gauche et rive droite)*" oraz w tomie „*Vingt neuf mois d' exil.*". O tej ostatniej dziś parę słów.

Niepodobna oczywiście pokusić się o streszczenie tego mnóstwa zagadnień, jakie porusza Daudet w tym tomie. Mówi o swych osobistych sprawach, o zainstalowaniu się w Brukseli, o swych znajomościach w Belgji i o Belgji, przy tej sposobności o Niemcach, których jest nieubłaganym wrogiem i doskonałym znawcą, o polityce, o Francji, o swych przyjaciołach i wrogach, o kwestjach kulinarnych, sięga od czasu do czasu do historji dawnej (*à propos* Waterloo). Daudet opisuje swe wycieczki do kąpielisk belgijskich, do Anglji i Szkocji. Specjalnie interesujące są rozdziały, poświęcone Belgji. Wycieczka do Waterloo daje mu sposobność do takiej refleksji: Bitwę pod Waterloo przegrał żołnierz zawodowy, mając lat 50, były uczeń szkoły w Brienne, fascynujący, obdarzony genjuszem wojskowym, znający się na wszystkich tajnikach... Największą wojnę europejską wygrał cywil — lat 78, Clemenceau — który nie miał pojęcia o sztuce wojskowej, ale który umiał tchnąć ducha energji w przywódców... To daje do myślenia... Rozdział o Dinant powinno się przetłumaczyć na język polski i odbić w tylu egzemplarzach, ilu w Polsce jest umiejących czytać, przetłumaczyć na wszystkie języki świata i kolportować po całym świecie — możeby wtedy trzeźwiej myślano o Niemcach.

Wśród mnóstwa zagadnień interesuje Daudeta medycyna, szczególnie kwestja raka. Wzruszający jest stosunek Daudeta do swej rodziny, zwłaszcza zaś pamięć o ojcu, Alfonsie Daudet'cie. Kiedy o nim mówi, znajduje akcenty najtkliwsze, najgłębsze.

Książka kończy się opisem powrotu do Francji.

*

Pisaliśmy nie tak dawno o podziwu godnej działalności francuskiego stowarzyszenia *Les Amis de la Pologne*. Wypada nam zanotować nowy dowód pomysłowości i rzutkości w propagandzie polskości wśród Francuzów. Rozpoczęto bowiem wydawać miesięcznik, przeznaczony dla młodzieży francuskiej p. n. „*Notre Pologne*". Format i układ miesięcznika dla młodzieży jest ten sam, co miesięcznika dla starszych („*Les Amis de la Pologne*"). W niezwykle serdecznym tonie utrzymane jest słowo wstępne pani Róży Bailly do młodzieży. Mówiąc o przyjaźni polsko-francuskiej zwraca się p. Bailly do młodych z takim apelem: „*A vous, jeunes filles et jeunes gens, de la reserrer encore. Faites, que notre France soit*

douce et bonne pour les emigrés polonais, accueillante pour les étudiants". Sam pierwszy numer uważać należy raczej za prospekt, zawiera on bowiem niedużo materjałów. Przyszłe numery redagowane być mają według wskazówek i życzeń młodych czytelników — przyczem łamy miesięcznika także dostępne być mają dla polskich czytelników. Nowej placówce propagandy polskiej życzymy jaknajpomyślniejszego rozwoju.

TEATR

ROK 1830 W TEATRACH NARODOWYM I POLSKIM

WYSIŁKIEM artystycznym wielkiej miary były wspaniałe przedstawienia w dn. 29 listopada ku uczczeniu rocznicy w dwóch teatrach warszawskich: Narodowym i Polskim.

Pierwszy z nich wyjął z „Kordjana“ Słowackiego sceny, dotyczące spisku koronacyjnego (akt III) i wystawił je w 10 obrazach z prologiem. Scenicznie opracował je znakomity artysta Juljusz Osterwa, dekoracje skomponował Wincenty Drabik, muzykę dorobił Adam Dołżycki. Te trzy nazwiska dają pojęcie, jak kunsztowną oprawę dostały skrzące się jak brylanty wiersze Słowackiego, jego efektowne postaci i jego wizje. Nie szczędzono kosztów, gotowano bowiem spektakl galowy.

Osterwa grał Kordjana z doskonałem zrozumieniem duszy młodziana, który dla odmiany porwał się na czyn, ale nie dobrze zmierzył siły zamiarami i dostał gorączki nerwowej. Rolę ks. Konstantego opracował po mistrzowsku wielki aktor doby obecnej Junosza-Stępowski. Cara — grał Socha, Doktora — Brydziński, inne role, których zresztą niewiele jest wybitnych: Bednarczyk, Neubelt. Wszyscy wzorowo.

Znacznie cięższe zadanie wziął na siebie teatr Polski, wystawiając „Noc Listopadową“ Wyspiańskiego. Również 10 obrazów, ale do odegrania ich potrzeba 54 aktorów, nie licząc całej masy statystów (publiczność i wojsko). Poezja Wyspiańskiego nieskończenie trudniejsza niż Słowackiego — tutaj aktor płaci cyzelowaną monetą słowa, u Wyspiańskiego nieraz słowo jest śpiewem nieuchwytnych stanów duszy i przedstawień myślowych, a wszystko o podwójnem znaczeniu rzeczywistości i symbolu.

Publiczność zdobyta była już pierwszą sceną, gdzie Pallas-Atene zwołuje sześć postaci Nike. Wszystkie mówią głębokim altem, a góruje jak dzwon Atene. Komplet, jak widać, umyślnie dobrany z różnych teatrów: słyszymy p. Wysocką (Atene), p. Hałacińską z Krakowa (Nike Napoleonidów) i t. d.

Między aktorami ludźmi rej wodzili Leszczyński w roli Piotra Wysockiego, księżna Łowicka — p. Pancewiczowa, W. ks. Konstanty — p. Dominiak, w roli Kory — p-na Lubieńska, Demetry — p. Kunina. Trudno wymienić wszystkich. Gra była zestrojona na poziom wysoki i bardzo inteligentnie przez p. St. Wysocką. Jej też była inscenizacja. Dekoracje i kostjumy — p. Karola Frycza bardzo malownicze. Muzyka L. Marczewskiego.

„Noc Listopadowa“ jest pozycją w dziejach teatru Polskiego wybitną.

Dodać należy, że przedstawienie uroczyste w teatrze Narodowym poprzedził krótkim wykładem literackim Stanisław Szpotański. We współczesnym świecie literackim jest to najlepszy znawca epoki listopadowej, która się przeciągnęła głęboko w lata emigracji popowstaniowej. Szpotański zna i dzieje powstania, o których zresztą nie mówił tutaj, ale jeszcze dokładniej ekwiwalenty i konsekwencje tego wydarzenia w życiu umysłowem emigracji, które miało tak wysokie loty poetyckie, jak Mickiewicza i Słowackiego, oraz religijne. Uwagi jego o wpływie powstania na rozwój zdarzeń literackich, wytworzyły w teatrze atmosferę intelektualną, której Słowacki potrzebuje.

O stronie literackiej dzieł samych Słowackiego i Wyspiańskiego piszę wyżej w rubryce „Na Widowni“.

Z. W.

OFENSYWA

POLSKA W LISTOPADZIE R. 1930

Motto: „Ja wam zwiastuję, że Polska nie będzie
Królestwem tylko lub Rzeczpospolitą.
Nagle jak poseł ukaże się Ona
I pośród mocarstw spodlonego grona
Przezwą ją ludzie — Mocarstwem — Aniołem.
Ja wam zwiastuję, że Polska Kościołem
Będzie na ziemi widomego czynu,
Przed nią pobledną potępione społem
Królów uciski i wściekłości gminu“.

KTO to napisał, łatwo się domyśleć. Czy w pośród „mocarstw spodlonego grona“ stała się Polska „mocarstwem— aniołem“, niestety, trudno mówić dziś z czystem sumieniem. Jedni mówią: mozarstwo nie mocarstwo. Inni mówią: parodja faszystowskiej Italji. Jeszcze inni: newralgiczny teren Europy... Wielka wieś Potemkinowska... *Infernum Rusticorum... Paradisum Judeorum...* Poprostu olbrzymi Sulejówek... Państwo nieograniczonych niemożliwości... Prawdziwa Rzeczpospolita Babińska... Czy nie poprostu *Greather Lodomerry*, to znaczy Powiększona Galicja?

* * *

W krakowskim „Naprzodzie“ między 16-tym a 20-tym listopada czytało się następujące ostrzeżenie:

„Ponieważ krąży po mieście zapowiedź, że w dniu wyborów nastąpi krótkie spięcie i nie będzie światła elektrycznego, lub też zgaśnie w czasie skrutynium, przeto towarzysze członkowie obwodowych komisyj wyborczych oraz mężowie zaufania siódemki niechaj przyniosą ze sobą kieszonkowe lampki elektryczne, a także po kilka świec, aby było czem świecić podczas obliczania głosów i aby nie nastąpiła „godzina duchów“. W razie nagłego zgaśnięcia światła uważać na urnę wyborczą! Przed opróżnieniem urny zapalić na wszelki wypadek kieszonkowe lampki elektryczne i świece, aby potem nagłe zgaśnięcie światła nie pogrążyło lokalu w ciemności, kiedy kartki wydobyte z urny będą leżały na stole celem obliczenia i kiedy mogłyby się w ciemnościach dziać cuda“.

* * *

W ostatnich czterech tygodniach tak „Polska Zbrojna“ jak i „Gazeta Polska“ i t. p. zamieszczały bardzo wiele reprodukcyj z tu i owdzie odsłanianych pomników. Aczkolwiek popiersia i medaljony są znane, twórcy tych skulptur przeważnie noszą nazwiska jeszcze ogółowi nieznajome. Zdaje się nawet, że nie każdy z nich ukończył kursy rzeźbiarskie, w którejś szkole przemysłowej czy normalnej.

Jak się na to zapatruje Departament Sztuki? Czy nie należałoby i nad tą radosną tfu-rczością roztoczyć pewną pieczę?

W r. 1918 na ziemiach cesarstwa niemieckiego stało już przeszło tysiąc (1000) pomników ostatniego z Hohenzollernów, zdobywcy 50 (pięćdziesięciu) twierdz europejskich. Dziś tych pomników już niema. Ale koszty ich „rozbudowy“ były bardzo wielkie. Przeważnie wysadzano je dynamitem w grudniu r. 1918 i styczniu r. 1919.

* * *

Ucylindrowany p. T. Hołówko (z Turkestanu) dziś już i po manicurze i po pedicurze, pachnący „*Violette de Parme*“ i *vegetal*'em, nie całe siedm czy sześć lat temu wydał dzieło o „Ziemianach“, t. j. o książętach Lubomirskim i Radziwille, o Potockich, Tarnowskich, Lubomirskich i t. p.

Oto nieco wyjątków z tych hołupców Hołówki:

„Ziemiaństwo polskie, pomimo, iż na wojnie naprawdę zrobiło świetne interesy, było głuche i obojętne na nędzę ludu miejskiego, uprawiając z zapałem „pasek“, a jednocześnie wyzyskując w nieludzki sposób pracę służby folwarcznej.

Ziemiaństwo w czasie tej wojny myślało tylko o jednem, o swych majątkach. Ten, kto strzegł ich majątkow, ten kto pozwalał im „pasek“ uprawiać, ten kto nie przeszkadzał im traktować służbę folwarczną, jak białych murzynów, ten był ich przyjacielem i sojusznikiem.

Niepodległość była dla nich śmieszną chimerą, wysiłek dla zdobycia Niepodległości polityką awanturników, polityką antynarodową.

Ziemiaństwo polskie z cynizmem bezgranicznym wyzyskiwało służbę folwarczną z takiem samem wyrafinowaniem, jak plantatorzy w południowej Ameryce.

Ziemiaństwo to warstwa, która w obronie swych majątków i kas gotowa w Polsce bez chwili namysłu rozpętać

burzę anarchji i swawoli... Czyż za to wszystko nie zasługuje ta kasta zdemoralizowana skazaną być na zagładę? A inną ona być nie może. Nie może być inną kasta tych ludzi, którzy są pasorzytami, którzy żyją z pracy i potu innych, którzy robią miljony na nędzy i głodzie ludności miast".

I t. p. i t. d.

W międzyczasie p. Hołówko został „naczelnikiem" departamentu w M. S. Z. Chadza już do „Europy" z hrabiami kąpa się u Fajansa i zaczyna szperać w herbarzach czy przypadkiem nie znajdzie tam jakich kniaziów Hołówków. Oburzać się tak niema znów czem, że woli kuropatwę od kiszki i towarzystwo gigolów z M. S. Z., a nie Burdy, Sanojcy i t. p. ledwochów. Pytanie atoli, jak będzie i jaki będzie, gdy to wszystko się wywróci i jak „naczelnika" wyleją z M. S. Z. Czy wtedy znów nie będzie cytował ze swej własnej broszury:

„Ziemia od obszarników musi być wywłaszczona bez wykupu. Większość ziemian już dawno „wypaskowała" swój wykup: tym samym nielicznym, którzy nie zdążyli lub nie chcieli paskować, należy dać dożywotnią rentę. Tylko taka reforma rolna, radykalna i śmiała, może przynieść istotną korzyść. Innemi słowy, nie należy oszczędzać kasty ziemian. Musi ona być zlikwidowana i przekreślona".

Takie bowiem: Hołówki, Burdy, Sanojce i t. p. kochają i państwo i „wielkie państwo" i wielkopańskość, wtedy, jak ich smarować miodem i kabzę napychać. Ale niech się odwróci?

* * *

Kazimierz Ehrenberg, Arystydes publicystyki sanacyjnej, „szara eminencja" M. S. Z., stały mentor Telemaka, gdy Telemak w Genewie, po wyborach do senatu, ni stąd ni zowąd przemówił patetycznie i jak z Parnasu. Ze niby „Poranniak" od 50 lat szedł za „Komendantem" („Engałyczewem"?) ale, że teraz:

„Rząd i jego zwycięska większość mają na swoje rozporządzenie własne rozległe środki administracyjne i prasowe do skutecznej walki ze swoimi przeciwnikami"...

Teraz atoli „Poranniak":

„Tem swobodniej dziennik niezależny zająć może odtąd stanowisko życzliwego, ale przedmiotowego i bezstronnego obserwatora prac rządu i sejmu. ...Tem łatwiej będzie mu zdobyć się na poważny szacunek dla każdej, przeciwnej nawet, opinji, o ile płynie nie z ducha zawziętości partyjnej, ale z szczerej troski o sprawy publiczne"...

Jednem słowem niby, że teraz... wobec tego, że tyle niby... forsy na „Expressiaki", na „I. C. K-a" i na „Gazetę Polską" i tyle innych gadzinówek, no to „Kurjer Poranny" czuje się nieco obrażony, rozgoryczony i będzie „niezależny". „Życzliwie," ale „bezstronnie"... słyszeli. Administracja narzeka, inseratów mniej, prenumerata się kurczy, pomocy znikąd od jakiegoś czasu, zatem „niezależny" grozi.

No dobrze *mon vieux*, no dobrze. Ale jak tam jest z tem „Echem Tygodniowem". Bije się tego 500, rozchodzi się 200. Tak? Koszta pokrywa jedno z ministerstw. Tak? Pan Ehrenberg ma miesięczną pensję w „Echu Tygodnia". Jaką? Powiedzieć?

Więc co to za poza na „niezależność" i na „bezstronnego obserwatora", kiedy djety za Genewę tyle a tyle, pensja w „Echu" tyle i tyle. Ot *cabochien* niepoprawny. Ale może podwyższą? Powinni.

* * *

„Robotnik" z dnia 14 listopada ogłosił dokumenty sanacyjno-moralne z kampanji wyborczej z r. 1928 czyli jak kupowano sumienia ludzkie w Polsce, w „mocarstwie-aniele":

„Tak naprzykład według sprawozdania p. Darowskiego, ówczesnego wojewody krakowskiego, J. Bojko otrzymał 6.000 złotych na „organizację zjazdu wójtów i poczęstunek w powiatach małopolskich". J. Bojko zabrał następnie na organizowanie rozłamu w „Piaście" wielkopolskim 5.000 zł., na druk „Chłopa Polskiego" w drukarni „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" i na organizowanie wieców 2.000 zł. i t. d. Brał również p. K. Kautzki, współpracownik p. Bojki; wziął żyd-ortodoks Ust. Matzner; wziął w lutym prof. Cyga 500 złotych imieniem Związku Legjonistów, brał redaktor „Słowa Tarnowskiego", „Kurjera Podhalańskiego". Wziął również Związek Rolników hr. Łubieńskiego, znaczne stosunkowo sumy brał red. W. Horodyski na „Stojałowczyka", a wszakże chodziło tu wszędzie o pieniądze państwowe".

* * *

W Berlinie, w *„Theater des Westens"* grana jest z dużem powodzeniem realistyczna sztuka, „fotomontaż" p. t. *„Brest-Litowsk"*. *Soyez tranquilles!* To nie jest jeszcze sztuka o dzisiejszym Brześciu! Ale będzie i taka, tylko miejmy nadzieję, że polskiego autora nie Niemca. W sztuce Józefa Rehfischa występują Trocki, generał Hoffman, Rathenau, Ludendorff, Wilhelm II i t. p. Jeden akt dzieje się w Moskwie podczas rewolucji, jeden w głównej kwaterze, jeden w „Brześciu Litewskim", gdzie zawarty był haniebny pokój. Ponieważ autor żyd, teatr żydowski, więc oczywiście takie postacie jak Trocki, Rathenau i... cesarz Wilhelm... nadal faworyt pansemickiej elity intelektualnej, wychodzą z tego świetnie, antysemicki Ludendorff oczywiście w najgorszem świetle.

Miejmy nadzieję, że polska sztuka o „Brześciu-Litewskim" z r. 1930 będzie lepsza...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z „Dziadów" części III-ej — urywki:

„...niedawno przed domem żony w nocy dzwonią
Otworzono: oficer i żandarm pod bronią,
I więzień. — On! — Każą dać pióra i papieru —
Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.
Wzięli podpis i palcem pogroziwszy: „Jeśli
Wydasz..." i nie skończyli, jak weszli, odeszli...
— — — — — — — — — — — —
Utył — ale to była okropna otyłość:
Wydęła go zła strawa i powietrza zgniłość,
Policzki mu nabrzmiały, pożółkły i zbladły,
W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły...
— — — — — — — — — — — —
...nie wiedzieć, kto szerzył w Warszawie powieści,
Że mu przez wiele nocy spać nie dozwalano,
Że karmiono śledziami i pić nie dawano,
Że pojono opium, nasyłano strachy,
Larwy, że łaskotano w podeszwy, pod pachy...
...Ach, wszystko, co przecierpiał w swych męczarniach [dziennych
I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych,
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka"!

*

Urzędowy organ „sanacji", „Gazeta Polska" w stulecie powstania listopadowego zamieściła notatkę ostrzegawczą pod adresem kolegjum, które tego dnia (30 list.) właśnie miało przyznać państwową nagrodę literacką. Ponieważ gdzieś w prasie wymieniono nazwisko poety i dramaturga Stanisława Miłaszewskiego, „Gazeta Polska", obnażając się jak dzikus, bez żenady oświadczyła:

„Kursuje też w kołach plotkarzy literackich przedziwna wiadomość, że do nagrody pretenduje(?) p. Stanisław Miłaszewski. Nie wdając się w ocenę literackiej działalności tego pisarza, dziwimy się tylko, że p. Miłaszewski, tak zaangażowany w ideologji obwiepolskiej, chciałby się ubiegać o nagrodę państwową... Bo przecież dzisiejsze państwo polskie dla panów z Obwiepolu... — czy mamy więcej tłomaczyć?"

Należałoby „tłomaczyć", dlaczego to „dzisiejsze państwo polskie" ma mieć dla obozu Wielkiej Polski tylko Brześć, a dla obozu małej Polski — nagrody. Notujemy jednak tę notatkę nie dla polemiki, lecz dla ścisłości etnograficznej, do rubryki: „Wyobrażenia hotentota o państwie i narodzie". Folklor!

*

Żydom i radykałom literackim, zgrupowanym lub bliskim obozowi „Skamandra" i „Wiadomości literackich" zarzucano, że niepodległość Polski powitali „Kabaretem artystycznym" „Picador", a przewrót majowy — pismem humorystycznem — „Cyrulik Warszawski". Jak wynika z artykułu Boya-Żeleńskiego „Legenda Zielonego Balonika" z perspektywy ćwierćwiecza" („Wiadomości literackie", № 48) pierwszeństwo w tym względzie winno przypaść stanowczo p. Boyowi i „Zielonemu balonikowi". Kabaret ten został założony jesienią r. 1905 — „niemal w tej samej chwili, gdy wypadki warszawskie wstrząsnęły Polską". P. Boy-Żeleński z właściwym sobie smakiem moralnym dodaje, że „w powietrzu była gorączka, dreszcz oczekiwania. Że to wszystko wyładowało się w „Jamie Michalikowej" właśnie w ten sposób, nie dziwcie się. Każdy robi, co umie".

Oj, tak! Każdy robi co umie...

TREŚĆ: Artykuł 19-ty czy wojna? *St. Strońskiego.* — Uwagi o obronie morskiej *Nauty.* — Kobieta muzułmańska doby najnowszej *F. Machalskiego.* — Moskiewskie gody *T. B. Sygi.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy: O wymawianiu w języku polskim *J. Hłaski.* — Wychowanie narodowe *P. Kowalskiego.* — Nauka i literatura. — Teatr *Z. W.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.